

POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCYZYŃNIE

FIGHTING POLAND

— WEEKLY FOR THE POLISH FORCES —

PRICE THREEPENCE

Wychodzi co tydzień

Dnia 21-go kwietnia 1945r.

Rok VII. Nr. 16

RYTM WOJNY

Przed kilku tygodniami J. A. Teslar, pisząc w "Dzienniku Polskim i Dzienniku Żołnierza" o zbiorze poezji jednego z młodych żołnierzy polskich, podkreślił ich życiową i literacką autentyczność, życiową i literacką prawdę. Uwaga zupełnie słuszną, tak słuszną, iż domaga się podbudowy, na jaką rozmiar krótkiego artykułu J. A. Teslarowi nie pozwolił. Oczywiście, od pisarzy z szeregów wojskowych oczekujemy literackiego płodu ich przeżyć, z góry im wierzymy i gotowi jesteśmy przyznać im najlepsze miejsce we współczesnym nam panteonie poetyckim.

Nie wszystko, niestety, co piszą koledzy z szeregów dochodzi do nas, nie wszystko też na miejscu uwieczniane jest drukiem. To zwykły los twórczości wojennej, gdy notatnik pisarski żołnierza tak często ginie z nim razem lub przepada w okolicznościach marszu czy boju. Może kiedyś część tych utworów odnajdzie się i będzie mogła być zabezpieczona, ale — rzecz prosta — nie wszystko. Czyn, opiewany słowem, przejdzie do porządku dziennego nad samym słowem, nie da się utrwalić na gorąco, a potem dozna, być może, zniekształceń i przyozdobień, które narzuci zawodność pamięci i nieprzerwany tok wydarzeń.

Poezja w tym względzie szczęśliwsza jest zawsze od prozy. Z natury swojej treściwsza, pozwala na przedse wykończenie i nadanie ostatecznej formy. Dlatego możemy cieszyć się nie tylko poszczególnymi wierszami, ale i zbiorami wierszy, podczas kiedy w prozie rzadko widzimy coś więcej, jak fragmenty. Na prozę, literacko skaloną, poczekamy prawdopodobnie długo.

Autentyczność utworom, przybawajacym z pola walki, nadaje odczuwany bezpośrednio przez ich autorów rytm wojny. Rytm ten jest odmienny od rytmu wojen poprzednich, tak w materialnej swojej, jak i moralnej istocie. Trzeba nim żyć, żeby wibrować z nim w tych samych drganiach; trzeba — a to jest możliwe tylko przez własne odczucie — włączyć się w jego potężny puls, by o nim autentycznie, prawdziwie mówić. W oparciu o tę autentyki jakiś przyszły wielki twórca stworzy może pomnikowe dzieło; nie zdoła tego nigdy uczynić, jeżeli znajdzie, jako materiał, tylko zdawkowe i z drugiej ręki utwory.

ŁOSKOT SILNIKÓW I GĄSIENIC

Napoleon nogami swych żołnierzy wygrywał batalie; żołnierz, nie tylko napoleoński, ale jeszcze żołnierz poprzedniej wojny, miał przed sobą marsz, wypoczynek, bój. W marszu i na wypoczynku mógł śpiewać; tak powstawały pieśni marszowe i biwakowe. W okopie mógł go prać ogień artyleryjski, ale wtedy to był właściwie już bój w swoim najbardziej niszczącym wyrazie. Jeżeli nie szedł pieszko, to jechał konno, był podwożony końmi lub koleją. Żołnierskie transporty kolejowe trzęsły się zawsze od pieśni. Dziś wygląda to zupełnie inaczej.

Nie śpiewa lotnik, nie śpiewa żołnierz w czołgu, nie śpiewa i podwożony szybko samochodem żołnierz zmotoryzowany. Szybkość ruchu, łoskot silnika, zgrzyt gąsienic tłumi wszelką pieśń, gdyby się nawet z piersi wyrwać chciała. Huk bomb lotniczych nie idzie falami, jak ogień artyleryjski, ale spada co minuta, prawie nieocze-

kiwanie, nęka stale. Cóż zostaje na śpiew? Chyba chwile oczekiwan-
nia, gdy są jednocześnie wy-
poczynkiem. Wojna jest wyraźnie
ruchowa, ale w swoim ruchu zna-
cznie gwałtowniejsza od wszelkich
poprzednich kampanii ruchowych.
To też mało się słyszy tych
pieśni, które dawniej samorzutnie
i niemal co dzień powstawały
w szeregach. A przecież w tych
szeregach jest więcej może ludzi,
zdolnych do twórczości, z większą
kulturą literacką, niż kiedykol-
wiek. Więc może są jeszcze inne
przyczyny zniknięcia pieśni żoł-
nierskiej?

WOJNA UDERZA WSZĘDZIE

Zmieniła się także wyłą-
czność wojenna żołnierza. Po-
ciski padają wszędzie: na front
i na tyły, na czoło kolumn, wzdłuż
nich i na sztaby, godzą w pozycje

i w budynki, w umundurowanych
i w cywilnych, burzą miasta i wsie
daleko za linią bojową. Żołnierz
nigdzie nie ma poczucia bezpie-
czeństwa, nawet gdy leży już
w szpitalu. Co więcej: żołnierz
nie ma chwili spokoju o los swoich
najbliższych. Któż to mocniej od-
czuwa, niż my, Polacy?

Wojna totalna, wymysł prawdzi-
wie szatański z podstępny tłumacze-
nieniem, iż to jest wojna szybka,
a więc "bardziej ludzka", przygne-
bia żołnierza, nęka go moralnie, u-
siłuje zniweczyć w nim wszelki
hart i odporność. Jakże trudno
żołnierzowi zdobyć się na pogodę
ducha, na odprężenie i młodą pu-
stotę. Walczą całe narody i rany
biorą całe narody. Któż odmówi
miana ofiar wojny mieszkańcom
Londynu i innych bombardowa-
nych miast angielskich, kto zwa-
sza ośmieli się nie uznać za wal-

czących żołnierzy wszystkich nie-
mal mieszkańców Warszawy?

Ale ten stan rzeczy odczuwa od
śpiewu. Co najwyżej mógłby ro-
dzić posępne chorały lub psalmy.
Widzimy, że w porównaniu z po-
przednią wojną ta może być na-
zwana milczącą. Może dopiero
chwila zwycięstwa dobiedzie jakiś
pogodny u zwycięzców śpiew.

DROGI WOJNY SĄ DALEKIE

To, co powiedzieliśmy wyżej, do-
tyczy wszystkich walczących,
wszystkich żołnierzy ciężkiego o-
kresu wojennego 1939 — 1945.
A teraz to, co dotyczy nas szcze-
gólnie.

Potężny podmuch wojny rozrzu-
cił nas daleko po świecie. Nie wal-
czymy dotąd na swojej ziemi, na
swoich wodach, w swoim przestwo-
rzu. Nie śpiewał żołnierz, idący
"borem — lasem", bo musiał kryć

się ze swoją przynależnością naro-
dową. Jeżeli trysnął potem zbio-
rową pieśnią na obcej ziemi, to
chyba w krótkich chwilach między
ćwiczeniami, dla animuszu raczej,
niż z potrzeby. Albo słuchał spe-
cjalnych chórów, jakie dlań i dla
chwały polskiej tworzone, najbar-
dziej zresztą celowo i umiejętnie.
Ale rytm tej wojny, póki z bronią
w rękę nie wkroczyliśmy kiedyś na
od wszelkiego wroga uwolnioną
ziemię własną, jest dla nas ciągle
jeszcze rytmem obcym.

Nie znaczy to, że wojna ta jest
nam obojętna. Od pierwszego jej
dnia dajemy dowody, co do niej
wnosimy; wiemy też, czego wzma-
mian zato od sojuszników spodzie-
wać się mamy prawo. Nie jeste-
śmy przecież legionami w służbie
obcej, ale podległymi swojemu naj-
prawowitszemu Rządowi siłami
zbrojnymi.

Wiemy też, iż sprawą życia
i śmierci dla narodu polskiego jest
ostateczne zgnięcie nieprze-
danego wroga. Zanim jednak
nie zapachnie nam własne pole, nie
otoczy nas swoją mowa, nie zaz-
grzytają nam pod stopą kamienie
naszych dróg, póty czuć się bę-
dziemy tułaczami. Jedyne, co
w tym względzie ratować może, to
poczucie, że prosta droga
wiedzie nas do celu. Cel
ten — to powrót do kraju w zwar-
tym żołnierskim szeregu, z rozwi-
niętymi sztandarami, powrót poto,
by ojczyznę wyzwolić, umocnić ją
w siłę i nadal przed wszelkim złem
bronić.

Ten jest sens słów Wodza Na-
czelnego, ta jest treść naszej przy-
sięgi i istota naszego obowiązku.

PIEŚŃ W PODZIEMIACH

Kraj śpiewał mało, śpiewał w u-
kryciu i śpiewał ponuro. Bila moc
i potęga z tych pieśni, jakie przy-
wożono nam tutaj, lecz nie mogły
być one i nie były pogodne. Polskę
wrogowie uczyli zawsze nienawi-
ści, choć nie ma dalszego od uspo-
sobienia naszego uczucia. Pieśni
kraju wzorowały się na podmu-
chach wichru i na poszumie
drzew. Czyż nie wejda też do przy-
szłych zbiorów wojennych pieśni
wygnańcze? Najmniej pewno bę-
dzie pieśni więziennych, bo w ka-
towniach zmlka wszelki śpiew.

Pieśni Polski Podziemnej drga-
ją rytmem walki, innej, cięższej,
niż zwykła żołnierska walka —
rytmem takiego bólu i męczeń-
stwa, że będzie im się należało
pierwsze miejsce wśród
wszystkich naszych pieśni tej
wojny. Za majestat bólu, za moc,
za przetrwanie, które było i bę-
dzie. Za to, że pieśni dobywają się
z gruzów nawet i dobywać się nie
przesaną.

PIEŚŃ I JEJ ODBICIE

Zaczeliśmy od literatury, a koń-
czymy na zwykłej pieśni, tak da-
leko odbiegającej od wszystkiego,
co jest sztuką. Robimy to celowo.
Pisarze nasi, poeci wojenni, są
współtwórcami wszelkiej pieśni,
a często z pieśni bezimiennej bio-
rą natchnienie. Z pewnością zaś
są najczulszym wskaźnikiem tego,
co nurtuje w duszy zbiorowej.

Otóż najsilniejszym drgnieniem
w polskiej poezji wojennej naszej
doby wydaje nam się tęsknota.
Jest ona nie czynnikiem rozkła-
du, ale zwarcia, nie słabości, ale
walki. Jest czułą płytą, na której
maluje się co dzień kraj, jest
drogowskazem, który do
kraju zwycięsko dowie-
dzie.

ANTONI BOGUSŁAWSKI

STANISŁAW GLIWA: Z walk Drugiego Korpusu we Włoszech



"Pazur" i "Pirat" z Czwartaków w Gardzieli pod Mass Albanetta



Pancerni Krechowiacy forsują rzekę Chienti

KATASTROFA

Kampania w Niemczech niewiele już ma wspólnego z tym, co zwykle rozumiemy pod pojęciem wojny. Od czasu sformowania Renu Niemcy nie byli już w stanie ustalić jakiejś linii obrony, czy zdobyć się na zorganizowany opór. Bitwa rozegrana nad Renem, zmieniła się w katastrofę armii niemieckich — katastrofę nie posiadającą żadnych odpowiedników w historii Rzeszy.

Katastrofa ta następuje w straszliwym tempie. Wydarzenia na frontach przytaczają swymi rozmiarami, a postępy wojsk — swą szybkością. Poczynając od północy, gdzie nastąpiło odcieście Holandii i rozpoczęło się uderzenie na porty Emden i Bremen, poprzez likwidację Zagłębia Ruhry, sformowanie Łaby najpierw na odcinku 9 armii, aż do operacji na Bawarii i Dreźnie 7 i 3 armii — wszędzie mamy ten sam obraz — gdzieś silnie niehamowanych, błyskawicznych postępów, miazdzących niemiecką maszyną wojenną.

JAK KURCZAK BEZ GŁOWY

Niemieckie siły zbrojne jako jednostka organizacyjna — właściwie już nie istnieją. Walka trwa, żołnierz niemiecki bije się, ale już z przyczynienia, jakby w jakimś transie. Ktoś słusznie porównał działania *Reichswehry* do konwulsyjnych podrygów kurczaka, który po ścięciu głowy zrywa się jeszcze i biegnie w drgawkach parę kroków. Porównanie to wydaje się dość przekonujące. Ale walka trwa i trwać będzie do końca, do ostatniego żołnierza. Plan przedłużania kampanii kosztem największych nawet ofiar — w oczekiwaniu na jakiś niespodziewany zwrot w sytuacji, na jakiś cud, który mógłby zmienić bieg wydarzeń — przeprowadzany jest jak najdokładniej.

Radio niemieckie pełne jest nadal wezwań do obrony. Agencja „*Front und Heimat*”, rozsyłająca materiały do pism żołnierskich tłumaczy żołnierzom niemieckim straszliwy los, jaki czeka ich pod okupacją aliancką. Koła polityczne Waszyngtonu — twierdzi dobrze poinformowana „*Front und Heimat*” — ustalają, że po wojnie 5.000.000 Niemców ma zginąć z głodu. Wojnę należy przedłużyć, ponieważ zwycięstwo Niemiec nie jest już tak dalekie. Po zeszłej wojnie Lloyd George przyznał się, że W. Brytania wygrała wojnę na pięć minut przed północą. Dziś jest to samo. Alianci prawie wyczerpali już zapasy. Brak środków transportu morskiego jest tak wielki, że W. Brytania grozi straszliwy kryzys głodowy.

Tak właśnie wygląda propaganda, która próbuje się jeszcze podtrzymać na nogach armii niemieckiej — tego bezgłowego już teraz kurczaka.

PO CO TO WSZYSTKO?

Po co to wszystko? — Oto pytanie, nad którym wielu suszy sobie dziś głowę. Z chwilą nieuniknionej połączenia się sił posuwających się z zachodu z wojskami rosyjskimi — przestanie istnieć jakakolwiek obrona Rzeszy. Hitler wraz z otoczeniem oraz doborowymi jednostkami S.S. bronić się ma w południowej Bawarii. Podobno — tak przynajmniej twierdzą źródła szwajcarskie — nagromadzone tam olbrzymie zapasy. Pobudowano podziemne lotniska i fabryki. W grobach ukryto składy żywności, amunicji i sprzętu.

NA BAŁTYKU

Trudno jest w ramach kroniki ukazującej się raz na dwa tygodnie omówić następujące szybko wydarzenia, a tym bardziej pisać o przyszłości, skoro teraźniejszość zmienia się z godziny na godzinę. W chwili gdy piszemy te słowa — padł Królewicz. Kilonia i Brema płoną. Wojska polskie zdobywają Emden. Nad Bałtykiem Niemcy są jeszcze w okolicach Libawy, w Piławie i na Mierzei Świeżej, oraz na naszym Helu, ale opór ich nie może trwać długo. Natomiast nie jest wykluczone, że z wysp duńskich i z fiordów norweskich uczynią sobie twierdze, które może będą się bronić jeszcze po kapitulacji Niemiec.

Położone na Bałtyku Bornholm, Fehmarn i niektóre wyspy w Beltach i w Sundzie przedstawiają dobrze zorganizowane, umocnione rejon. Marynarka niemiecka /szczególnie duże i małe okręty podwodne/ wciąż działała i posiadała w Norwegii liczne kryjówki, zaopatrzone w zapasy na kilka miesięcy. Tak długo, jak Niemcy tkwią w Danii, wejście na Bałtyk jest zamknięte.

Wojna zaczęła się od Bałtyku, od Gdańska, Gdyni i Helu i na Bałtyku zapewne się skończy, bo konieczne będzie odcieście baz niemieckich w Norwegii i oprowadzenie cieżkich duńskich. Operacja taka nie będzie dziś trudna dla zachodnich Sojuszników, ale — o ile Niemcy zechcą się bronić — trwać może jeszcze pewien czas.

Są dane, że rozpaczliwa obrona Bremy miała na celu ewakuację tego co się da do Danii i Norwegii. Kanał Kiloński został już przedtem ufortyfikowany i ma stanowić zapórę, odgradzącą półwysp Jutlandzki od kontynentu. Czy uda się jednak Niemcom utrzymać w Szwecji — to jest pytanie.

W roku 1939 Hitler dumnie oświadczył, że nie powtórzy nigdy błędów Wilhelma II. Ba — ale Wilhelm II, mając silną marynarkę, nie

W ukryciu tym Hitler, Himmler, Goebbels, czy ktokolwiek inny kto rządzi dziś Rzeszą, czekać ma na owo wydarzenie, które zmieni bieg wypadków. Dostarczyć tego wydarzenia ma skłócona politycznie, zmorzona głodem, epidemiami i rewolucjami — Europa. Hitler jest uczniem i wielbicielem Fryderyka Wielkiego. Pamięta jak śmierć carycy Elżbiety uratowała jego mistrza od niechybnej zagłady. Być więc może, że i Hitler liczy na taką niezwykłą zmianę układu przemyślenia.

Wydaje się dość prawdopodobne, że Niemcy, korzystając z warunków naturalnych, spróbują podtrzymać opór na pograniczu bawarsko-austriackim — jak długo jednak? Marszałek Montgomery wyraził się ostatnio z powątpiewaniem o wojskowych możliwościach przedłużania obrony w Bawarii. Zresztą ta ich fortca jest już wyraźnie zagrożona przez postępy Pattona i Tobuchina.

Przyjmując nawet jednak ten pogląd, trudno się dopatrzeć jakiegos wyrażniejszego związku logicznego między tym głównym bastionem a istniejącymi wciąż jeszcze ośrodkami oporu — pomijając „worki” w samej Rzeszy — jak n.p. porty francuskie, Holandia /około 5 dywizji/, Bałkany /resztki 10-u dywizji/, czy Norwegia /10 dywizji/. Obrona na północy, gdzie zresztą Niemcy wciąż próbują stawiać silniejszy opór, może mieć jeszcze jakieś znaczenie. Porty holenderskie oraz niemieckie, jak Emden, Brema, Hamburg czy Lubeka — jeśli będą się jeszcze bronić przez czas jakiś — przedłuża

niewatpliwie na pewien okres istniejący stan, w którym armie alianckie w głębi Rzeszy wciąż jeszcze opierają swe zaopatrzenie na Antwerpii. Być może ułatwi to nieco życie południowej „*Festung Berchtesgaden*”.

Czy jednak wszystko to może się naprawdę jeszcze na coś Niemcom przydać?

BEZ DROGI ODWROTU

Pozostają jeszcze Włochy z zamkniętymi tam ponad dwudziestoma dywizjami niemieckimi. Określną drogą w kierunku wschodnim łatwo by się przedostać stamtąd poprzez Karyntię do rejonu Salzburg — Berchtesgaden. Łatwo jednak — ale na mapie. Praktycznie opór stawiany przez siły niemieckie we Włoszech jest przykładem beznadziejnej obrony, skazanej na nieuniknioną zagładę. Niemcy nie posiadają zupełnie odwrotu z frontu włoskiego. Biegna stamtąd na północ zaledwie dwie linie kolejowe i praktycznie cztery szlaki drogowe. Te połączenia komunikacyjne są już zniszczone przez lotnictwo Sprzymierzonych i pozostają pod jego całkowitą kontrolą. Ewakuacja wojsk niemieckich zablokowanych we Włoszech trwałaby szereg miesięcy.

Tymczasem na spokojnym ostatnim froncie włoskim rozgorzały walki na dobre. Ofensywa podjęta przez 8 armię przypieczętuje los dywizji niemieckich we Włoszech. Rozpoczęła się ona pomyślnie. Rzeka Senio, która tak długo hamowała postępy Sprzymierzonych we Włoszech, została sforsowana. Ten sam los dzie-

li następna bariera wodna — Santerno. Nic więc dziwnego, że w tej sytuacji nie należy lekceważyć pojawiających się ostatnio pogłoszek, że nowy dowódca niemieckiego frontu włoskiego — jest nim gen. Heinrich von Wiettinghoff-Scheel, były dowódca 10 armii — gotów jest wykonać dość zdrowego rozsądku, by skapitulować, jeszcze przed całkowitym ustaniem oporu w samej Rzeszy.

NA ZIEMI NIEMIECKIEJ

Jak było do przewidzenia, Polacy, którzy pierwsi podjęli wojnę z Niemcami, prowadząc ją nieustannie od 1 września 1939 r., będą również obecni przy jej zakończeniu. Jednostki nasze biorą udział w ostatecznej kampanii, która kończy się niemal sześćdziesiątą, przewlekłą, krwawą wojną z Niemcami. II Korpus we Włoszech oraz I Dywizja Pancerna na pograniczu holendersko-niemieckim weszły prawie jednocześnie do akcji. Operacje poprzedzone zostały wizytą p.o. Naczelnego Wodza, który z Holandii udał się na front włoski.

II Korpus z miejsca miał znaczne sukcesy, o których wiadomości zamieszcza codziennie prasa brytyjska. Dywizja Pancerna ma trudne zadanie; działa na odcinku, gdzie Niemcy, osłaniając porty północne — wciąż jeszcze stawiają zacietę opór. Operuje ona na Emden.

Ale na odcinku Dywizji zdarzył się fakt, który w historii wojska polskiego ma wielkie i niezwykle znamienne znaczenie. Po raz pierwszy w tej wojnie /po za wypadem kawaleryjskim do Prus Wsch. w 1939/.

Z tygodnia na tydzień

9 kwietnia: II-gi Korpus bierze udział w ofensywie Sprzymierzonych na froncie włoskim. Oddziały II-go Korpusu przekroczyły rzekę Senio i nacierają w kierunku na rzekę Santerno.

— Polska Dywizja Pancerna jest w akcji na froncie w Holandii. Oddziały polskie posuwają się w kierunku na Emden.

— Wojska sowieckie zajęły Królewicz oraz centrum Wiednia.

— Lotnictwo sprzymierzone zatopilo krążownik niemiecki „Admiral Scheer” w Kanale Kilońskim.

10 kwietnia: Oddziały kanadyjskie wkroczyły do Deventer. Oddziały 1 Dywizji Pancerniej, które wyruszyły z Helmsloo, zdobyły Emmen i osiągnęły miejscowość Weerdingemond w Holandii.

— Ogłoszono, że gen. Wł. Anders odwiedził gen. Czerara, dowódcę Armii Kanadyjskiej.

— Wojska sprzymierzone zajęły Hanower i Nordhausen.

— Lotnictwo sprzymierzone po raz pierwszy atakowało obiekty wojskowe w Czechosłowacji.

1 kwietnia: Wojska sprzymierzone zajęły Essen w zagłębiu Ruhry.

— Na zachodnim odcinku frontu wojska sprzymierzone wkroczyły do Brunswiku, osiągnęły rzekę Łabę w pobliżu Magdeburga i dotarły do Erfurtu.

— Na froncie włoskim wojska sprzymierzone zajęły Masę na pd. od Spezii i dotarły do rzeki Santerno. Oddziały II-go Korpusu wkroczyły do Castel Bolognese na drodze Rimini-Bolonia w nocy z 11/12 kwietnia.

12 kwietnia: W Ameryce zmarł Prezydent Stanów Zjednoczonych Franklin Delano Roosevelt. Następcą jego został dotychczasowy wice-prezydent Harry S. Truman.

— Oddziały 1 Dywizji Pancerniej zbliżają się do Wimschoten. Inne oddziały przekroczyły granicę niemiecką i zdobyły Rhede. Jeden z oddziałów polskich oswobodził 1700 kobiet polskich z obozu koncentracyjnego w pobliżu Hintermbush.

— Wojska sprzymierzone przekroczyły Łabę. Walki toczą się w Magdeburgu. Weimar poddał się bez walki.

— Na froncie włoskim wojska sprzymierzone wkroczyły do Carrary.

— Min. Spr. Zagr. W. Brytanii oznajmił w parlamencie, że Ambasador brytyjski otrzymał zapewnienie od rządu sowieckiego uwolnienia żony Premiera Arciszewskiego zatrzymanej przez władze sowieckie.

— Ogłoszono, że gen. Wł. Anders przebywa w II-gim Korpusie.

13 kwietnia: Oddziały II-go Korpusu zdobyły Castel Bolognese.

Oddziały sprzymierzone zajęły Masę Lombarda na drodze do Bolonii.

— Wojska sowieckie zajęły Wiedeń.

— Wojska brytyjskie wkroczyły do Arnheim.

— Wojska amerykańskie zajęły Duisburg w zagłębiu Ruhry oraz Jene.

14 kwietnia: Oddziały II-go Korpusu po przekroczeniu rzeki Santerno wtargnęły na przedmieścia Imola, gdzie toczą się zacietę walki.

— Wojska amerykańskie wkroczyły do Bayreuth.

— Von Papen, b. ambasador niemiecki w Ankarze, został wzięty do niewoli przez wojska amerykańskie.

15 kwietnia: Oddziały II-go Korpusu zdobyły Imolę o 19 mil od Bolonii i zbliżają się do rzeki Sillaro.

— Oddziały 1 Dywizji Pancerniej zajęły Wimschoten.

— W Holandii wojska sprzymierzone dotarły do Morza Północnego w miejscowości Ternaard i odcieły wojska niemieckie w zachodniej Holandii. Zajęto Arnheim.

— Wojska sprzymierzone nacierają na Bremę. Zajęto Stendal. Walki toczą się w Halle, o 20 mil na północ od Lipska.

— Wojska sowieckie zajęły St. Poelten, o 28 mil na zachód od Wiednia.

zbrojne oddziały polskie wkroczyły na terytorium Rzeszy. Stanęły one na ziemi niemieckiej jako wojsko zwycięskie — część zwycięskiej armii sojuszników. W ten sposób po sześciu niemal latach wymierza się dziejowa sprawiedliwość.

PODOBIENSTWA . . .

Żołnierze Dywizji będą świadkami ostatecznej klęski Rzeszy. Potęga, zbudowana na krzywdzie i bezprawiu, wali się w gruzy. Ci sami Niemcy, którzy tak butnie panoszyli się na ulicach Warszawy, Krakowa, czy Poznania, teraz będą się korzyć przez polskimi żołnierzami, płaszczyć się — jak to powszechnie czynią na terenach okupowanych — i odżegnywać się od winy.

Choć sytuacja Niemców nie ma nic wspólnego z losem, jaki zgotowali Polakom po Wrześniu — to jednak odczuwają oni po raz pierwszy w pełni straszną grozę nowocześniejszej wojny. Walki toczące się obecnie w Rzeszy mają wiele podobieństw z kampanią niemiecką w Polsce. Tylko że rola zwycięscy przypada obecnie Sprzymierzonym.

Pomijając już pewne podobieństwa pomiędzy walkami nad Bzurą, a bitwą o Ruhre, gdzie na środkowym odcinku osaczone zostały znaczne siły — należy podkreślić takie n.p. czynniki, jak nierówności sił powietrznych. Sprzymierzeni — podobnie jak Niemcy w Kampanii Wrześniowej — posiadają olbrzymią przewagę powietrzną, która właściwie zdusiła i zupełnie unicestwiła lotnictwo przeciwnika. Istnieje również silne podobieństwo w nieskierowanych ruchach jednostek pancernych, które głębokimi zagonami buszują swobodnie na tyłach przeciwnika. Jedyną zaporę stanowią miasta, brnione kosztem ich istnienia. Takich podobieństw można by się doszukać oczywiście więcej.

Na froncie wschodnim ostatni tydzień przyniósł upadek Królewca i Wiednia. Mimo szumnych zapowiedzi propagandy niemieckiej, Wiedeń właściwie się nie bronił. Mieszkańcy stolicy Austrii zdążyli uniknąć losu Budapesztu. Według prasy wojskowej w bitwie w Wiedniu znaczną rolę odegrał austriacki ruch podziemny, noszący tajemniczą nazwę „05”.

Choć prasa rosyjska poświęca temu ruchowi więcej uwagi, niż polskiej Armii Krajowej w ciągu pięciu i pół lat jej działalności — należy stwierdzić, że o jego dokonaniach słyszano dotychczas niewiele. Ujawniona przed kilku miesiącami wiadomość o istnieniu austriackiego batalionu czy też batalionów w armii marsz. Tito — była zdaje się jedyną informacją o akcji niepodległościowej Austriaków.

Na froncie środkowej Odry oraz nad Nisą Rosjanie wznowili zwycięską ofensywę na Berlin. Główne uderzenie wyszło na czterdziestym milowym odcinku między Kościerzyną, a Fuerstenberg. Hitler odpowiedział na ten ostateczny już cios, historycznym przemówieniem, malując Niemcom w niezbyt zachęających barwach los, jaki oczekuje ich od Wschodu. Nowa ofensywa rosyjska zdecydowanie nie tyle o przyszłości Berlina — bo jest ona już rozstrzygnięta — ile o tym kto pierwszy, Amerykanie, czy Rosjanie, wkroczy do stolicy Rzeszy.

— Londyn dn. 16 kwietnia 1945

ZASTĘPCA

Wojna na morzu

potrafił jej użyć. Hitler również nie potrafił użyć swojej. Bo gdyby w latach 1939 — 41 miał mniej okrętów podwodnych, a więcej nawodnych, to łącznie z Włochami i Japonią mógłby być wygrać tę wojnę. . . Ale tymczasem — wszystkie zwycięstwa na lądzie i w powietrzu nie zdały mu się na nic, bo straciwszy panowanie na morzu — tracił kolejno wszystkie swoje zyski na ziemi i w powietrzu.

Niedarmo Sir Julian Corbett pisał, że gdyby Napoleon więcej dbał o marynarkę, to Nelson przeszedłby do historii nie jako bohater i zwycięzca, ale jako nieudolny admirał.

NA PACYFIKU

Samoloty amerykańskie, startujące z Iwoszima, trzymają Japonię pod stałym bombardowaniem. Okinawa jest prawie zajęta, a przeciwie dzieli ją od południowego cypla Kyushu zaledwie 350 mil, to znaczy 8% odległości jaką Amerykanie musieli przebyć od Pearl Harbour.

Najważniejszym wydarzeniem na Pacyfiku była bitwa 7 kwietnia. Eskadra japońska, złożona z nowoczesnego nadpancernika „Yamato” /45.000 ton/, 2 krążowników i 6 kontrtorpedowców, zbliżyła się do wysp Okinawa bez osłony lotniczej. Sens tej ryzykownej operacji, który uszedł uwadze dziennikarzy anglosaskich, nie rozumiejących dlaczego zaangażowano stosunkowo słabe siły w tak niekorzystnych warunkach — nasuwa się dopiero po dokładnym przestudiowaniu bitwy.

Eskadra japońska miała służyć jako wsparcie i ewentualna pomoc w razie przymusowego wodowania dla kilkuset samolotów japońskiego lotnictwa lądowego, wysłanych przeciw morskim siłom Ameryki na tych wodach. Po prostu chcieli zniszczyć z powietrza okręty amery-

kańskie pod Okinawa, a wówczas wojsko na wyspie znalazłoby się w trudnym położeniu.

Ale okazało się raz jeszcze, że lotnictwo zaokrętowane nie ustępuje lądowemu. W bitwie powietrznej, która się nad morzem wywiązała, Japończycy stracili podobno 341 samolotów, z czego 51 straciła artyleria okrętowa, a 55 myśliwców lądowych. Reszta przypadła w udziale lotnictwu morskemu U.S.A.

Jeśli cyfra ta jest nawet przesadzona, to w każdym razie mamy wytłumaczenie — dlaczego eskadra japońska pozostała bez osłony lotniczej. Większość samolotów została zniszczona lub uszkodzona, innym zbrakło paliwa. A wówczas samoloty amerykańskie rzuciły się na okręty pozbawione eskorty lotniczej. „Yamato” trafiony został trzema torpedami i ośmioma bombami. W 10 godzin później zatonął o 50 mil od Kyushu. Poza tym zatopiono ohydwa krążowniki i trzy kontrtorpedowce. Pozostałym trzem kontrtorpedowcom udało się uciec.

Po stronie amerykańskiej trzy kontrtorpedowce zostały zatopione, i kilka innych okrętów amerykańskich i brytyjskich odniosło uszkodzenia. Między innymi trafiony został bombą flagowy lotnikowiec brytyjskiego admirała Vian. Straty lotnictwa amerykańskiego wyniosły tylko 9 samolotów.

Celność ognia przeciwlotniczego okrętów amerykańskich polega na nowych przyrządach celowniczych, pozwalających na 95% skuteczności. Pancernik „South-Dakota” zestrzelił pod Iwoszima 32 samoloty zanim sam został uszkodzony.

Drugi naloł japoński na flotę anglo-amerykańską pod Okinawa osiągnął słabsze wyniki. Zatonał kontrtorpedowiec amerykański, kilka in-

nych okrętów odniosło uszkodzenia. Zestrzelono 118 samolotów japońskich.

Straty lotnictwa japońskiego w czterech kolejnych /dwa wzmiankowane duże i dwa mniejsze naloty grupowe/ atakach na flotę admirałów Nimitza i Fräsera kosztowały 530 samolotów. Ani jeden okręt wojenny sprzymierzonych poza czterema kontrtorpedowcami nie został zatopiony. Gra okazała się nie warta świeczki. I jeszcze raz potwierdzony został fakt, że flota nie lęka się wrogiego lotnictwa, o ile jest dobrze chroniona przez własne.

W godzinie klęski Japonia powołała 77-letniego admirała Suzuki na szefa rządu. W Grecji — wobec kryzysu rządowego powołano na takie stanowisko adm. Vulgarisa. Jak bieda — to do . . . admirałów.

PARĘ FAKTÓW

Adm. Ritter, który sprawił, że 45 niemieckich okrętów podwodnych wpadło w Gdańsku w ręce Rosjan, został skazany na śmierć. O jakiego typu okręty podwodne chodzi: duże, małe, czy miniaturowe — niewiadomo.

Niedaleko Bremy w ręce Kanadyjczyków wpadły magazyny marynarki niemieckiej z ważnym sprzętem, aktami i personelem.

Niemiecki parowiec „Cap Arkona” /27.000 ton/ przybył z Gdańska do Kopenhagi, przepełniony uciekinierami. Przybyły tam także 3 kontrtorpedowce i 20 lekkich okrętów z Gdyni.

W trzech potyczkach morskich na Morzu Północnym Niemcy stracili około tuzina ścigaczy, Angliecy — dwa. Bitwy prowadzone były z nelsonowską zacietością, nieraz na odległość 10 metrów. Dwa ścigacze niemieckie zostały staranowane.

Wielki konwój dla Rosji atakowany był kilka dni przez lotnictwo i okręty podwodne Hitlera. Angliecy stracili korwetę „Bluebell” i 1 statek handlowy. Niemcy — okręt podwodny i 12 samolotów. Kilka innych okrętów podwodnych zostało co najmniej poważnie uszkodzonych.

Brytyjczycy z powrotem wyładowali na Krecie. Jest to, po porażce 1941 roku, piękna stronica chwały dla „*Royal Navy*”. Przypomnieć należy, że O.R.P. „Garland” również działał na tych wodach.

Niemcy ogłosili, że w marcu zatopili 50 statków alianckich o łącznej pojemności 270.000 ton. Cyfrę tę należy podzielić przez dwa, a może i przez trzy, aby dojść do prawdy.

W czasie grupowego nalotu na Kilonię lotnictwo brytyjskie zniszczyło stojący przy nabrzeżu „kieszonkowy” pancernik niemiecki „Admiral Scheer” /13.000 ton/. Pancernik niedawno przybył z Gdyni. O zniszczeniu okrętu lotnictwo królewskie dowiedziało się dopiero po dokonaniu . . . zdjęć powietrznych portu.

POLSKA MARYNARKA WOJENNA

Pewna ilość oficerów i podoficerów Marynarki Wojennej, z Szefem Sztabu Floty komandorem dypl. Majewskim na czele została oswobodzona z obozów niemieckich. Powitać winniśmy sercem całym tych obrońców Gdyni, Okywiu i Helu, którzy pięć i pół roku przecierpieli w niewoli niemieckiej, a przecież doczekali się wolności.

Na marginesie wypędzenia Niemców z Gdyni i Gdańska wspomnieć trzeba o pozostawionych tam przez nich okrętach i sprzęcie morskim. Należy się to bezwzględnie Polsce. Jednak jak dotychczas brak danych co wzięto /prócz 45 niewiadomego typu okrętów podwodnych/ i co się z tym stało.

JULIAN GINSBERT

Franklin Delano Roosevelt



Nie wiadomo, jakie miejsce wyznaczy Franklinowi Rooseveltowi historia w szeregu wielkich prezydentów Stanów Zjednoczonych. Nie wydaje się jednak ulegać wątpliwości już dziś, że będzie to miejsce czołowe, pod wieloma względami wręcz wyjątkowe. On bowiem jedyny w dziejach Stanów Zjednoczonych czterokrotnie obdarzony został przez współrodaków najwyższą godnością, raz zwyciężając większością, jakiej nie dane było osiągnąć żadnemu z poprzedników.

W ciągu przeszło dwunastu lat sprawowania tego urzędu spadła na Roosevelta odpowiedzialność ratowania Stanów Zjednoczonych z niebezpieczeństw zagrażających samym podstawom ich istnienia. W pierwszym wypadku był to kryzys gospodarczy, który postawił w roku 1931 i 32 najbogatsze społeczeństwo świata na skraju ruiny. W drugim wypadku zdołał Roosevelt uleczyć swój naród z chorobliwego złudzenia zwanego izolacjonizmem i poprzez kryzys przełomu 1941 — 42 poprowadzić go ku wspaniałym zwycięstwom na obu półkulach na lądzie, na morzu

i w powietrzu, kładąc jednocześnie podwaliny współpracy Ameryki z resztą świata w dziele budowy pokoju.

Na wiosnę roku 1932, w momencie gdy Roosevelt stanął po raz pierwszy do walki o prezydenturę, Stany Zjednoczone znajdowały się na dnie kryzysu gospodarczego. Fala bankructw wzmagała się z dnia na dzień. Liczba bezrobotnych przekroczyła cyfrę dziesięciu milionów. Całej gospodarce narodowej groził paraliż.

W takiej chwili, po trzech kolejnych kadencjach prezydentów republikańskich, wybrany został 48-letni Franklin Delano Roosevelt, gubernator stanu nowojorskiego i były podsekretarz Ministerstwa Marynarki za prezydenta Wilsona. Nie było czasu do stracenia. Nie długo po objęciu urzędu Prezydent, wspomagany przez zespół doradców z pośród najtęższych mózgów kraju — przystąpił do dzieła i w krótkim czasie zdołał przeprowadzić przez Kongres kilka podstawowych reform gospodarczych i społecznych, kładących kres wybujałościom systemu kapitalistycznego.

Na ten system reform, zwanych „Nowym Ładem” — „New Deal”, składały się trzy rodzaje ustaw.

Pierwszy z nich ograniczał wpływy wielkich organizacji gospodarczych, trustów i kartelów, utrudniając dalsze gromadzenie własności w jednych rękach, stwarzając korzystniejsze warunki rozwoju dla przedsiębiorstw małych i średnich, biorąc zwłaszcza w obronę interesy drobnych farmerów.

Drugi rodzaj środków zaradczych obejmował wielki plan robót publicznych, mających na celu zmniejszenie bezrobocia, jak i takie rozwinięcie naturalnych zasobów kraju, które mogłoby ułatwić uzdrowienie gospodarki narodowej i stworzenie na przyszłość lepszych podstaw jej rozwoju. Plan ten obejmował przede wszystkim budowę sieci wielkich tam i elektrowni oraz gospodarcze podniesienie okęgów zaniedbanych, jak n.p. doliny rzeki Tennessee, które stało się wzorem podobnych prac przeprowadzonych w naszym Centralnym Okręgu Przemysłowym.

Trzecia grupa reform zmierzała do stworzenia systemu ubezpieczeń społecznych, chroniących świat pracy przed skutkami zmienności losu i koniunktury gospodarczej.

Pomimo potężnego sprzeciwu, montowanego przez t.zw. „sfery gospodarcze”, pomimo drobnych, choć czasem przykrych niepowodzeń, podstawowe reformy weszły w życie, katastrofa została zażegnana, a struktura gospodarcza Stanów Zjednoczonych znacznie ulepszone.

Takie jest podjęte przez Roosevelta dzieło odbudowy gospodarczej i społecznej równowagi kraju, ukrócenia przerostów systemu kapitalistycznego, ochrony „szarego człowieka” przed wyzyskiem możnych, rzecznika sprawiedliwości społecznej.

Druga część jego wielkiego dzieła dotyczy w równym stopniu samej Ameryki, jak i reszty świata.

Prezydent Wilson dokonał wielkiego wysiłku, aby włączyć Stany Zjednoczone do współpracy nad utrzymaniem pokoju. Wyrazem tej współpracy miała być zapoczątkowana przez niego Liga Narodów. Ale społeczeństwo amerykańskie nie było na to przygotowane. Górowała w nim nieufność do wszystkiego, co nie jest amerykańskie, nieufność będąca spadkiem przeszłości i wynikiem oddalenia przestrzennego. Roosevelt zrozumiał na czym polegał błąd jego mistrza i poprzednika. To też, od pierwszej swej kadencji, rozpoczął wiel-

ki trud wychowywania społeczeństwa amerykańskiego do współodpowiedzialności za losy świata, który dzięki postępowi technicznemu stał się jednością, gdzie pokój, wolność i dobrobyt są niepodzielne.

„Nie wyobrażajmy sobie — mówił Prezydent jeszcze w październiku roku 1937-go — że Ameryka może uniknąć niebezpieczeństw grożących innym, że może ona spodziewać się litości ze strony napastnika, że zachodnia półkula nie będzie napadnięta. Złudzeniem jest przypuszczać, że dane nam będzie spokojnie korzystać z dóbr cywilizacji, gdy inni będą pozbawieni tego prawa...”

Była to praca na długą metę. Wyniki jej oglądaliśmy w latach 1939 — 41: Stany Zjednoczone same nie będąc w wojnie, podjęły wysiłek pomocy wszystkim tym, którzy przeciwstawiali się agresji państw „Osi”. Dzięki powolnemu, roztępnemu przygotowaniu, społeczeństwo amerykańskie chętnie i dobrowolnie zgodziło się na ofiary na rzecz innych, odległych i mało znanych krajów, dlatego, że walczą one o ideały wyznawane przez Amerykę, dlatego, że ich zagrożenie na jakimkolwiek punkcie globu jest zagrożeniem ich również i w Ameryce.

Po ośmiu latach wysiłków, w okresie trzeciej kampanii wyborczej, okazało się, że w sprawach polityki zagranicznej społeczeństwo Stanów Zjednoczonych, bez względu na podziały partyjne, jest nie tylko jednomyślne, lecz że partia i kandydat republikański starają się przelicytować Prezydenta w hasłach pomocy walczącej wówczas samotnie W. Brytanii. Był to olbrzymi sukces pracy wychowawczej, która doprowadziła do przeniknięcia podstawowych zasad polityki zagranicznej tak głęboko w świadomość całego społeczeństwa, że rozprawia ono już tylko nad sposobami ich wprowadzenia, a nie nad samymi zasadami.

To samo zjawisko obserwowaliśmy w czasie wyborów w roku 1944, gdy zasada współpracy Stanów Zjednoczonych w organizacji i utrwaleniu pokoju i bezpieczeństwa międzynarodowego stała się kanonem obu programów, czyli t.zw. „platform wyborczych”, tak demokratów, jak i republikańców.

Zdając sobie sprawę z istniejących nawet w szeregach własnej partii oporów przeciwko bezpośredniemu udziałowi w wojnie, Roosevelt postanowił przekształcić Stany Zjednoczone w „arsenał demokracji”. Przetawiał więc produkcję kraju na tory wojenne,

a przez to przygotował go na czynne wzięcie udziału w konflikcie, który — jego zdaniem — w niedługim czasie musiał nieuchronnie ogarnąć i Amerykę. W pierwszych tygodniach trzeciej kadencji, w lutym roku 1941-go, na wniosek Prezydenta Kongres uchwala ustawę „o pomocy walczącym demokratom” czyli t.zw. „Lease and Lend Bill”. Na mocy tej ustawy prezydent jest władny udzielić takiej pomocy, jaką uważa za stosowną każdemu krajowi, „którego obrona ma żywotne znaczenie dla obrony Stanów Zjednoczonych”.

Uzbrojony w takie pełnomocnictwa Roosevelt rzuca na szalę olbrzymie zasoby Stanów dla podtrzymania przede wszystkim W. Brytanii a następnie zaatakowanej przez Niemców Rosji, która dzięki pomocy amerykańskiej może otrząsnąć się z pierwszego uderzenia niemieckiego i również w znacznym stopniu dzięki dostawom „Lease and Lend”, odeprzeć wroga spod Stalingradu aż po Berlin.

Jeszcze przed przystąpieniem Stanów Zjednoczonych do wojny Prezydent Roosevelt wraz z Premierem Churchilllem wykreślają i formułują ideowe założenia światowych zmagani. „Karta Atlantycka” to szczytowy punkt wzlotu obu mężów stanu jako ideologów tej wojny.

Od grudnia roku 1941, od czasu ataku japońskiego na Pearl Harbour, praktyczne zajęcia Prezydenta jako naczelnego wodza sił zbrojnych Stanów oraz współtwórcy światowej strategii Zjednoczonych Narodów, dzięki której stoją one dziś u szczytu powodzeń wojskowych — odciągnęły uwagę jego od planowania przyszłego, lepszego i sprawliwszego świata, ku nakazom i koniecznościom toczącej się walki. Chwila obecna nie jest sposobna do rozważań nad tym, jak w okresie między Teheranem a Jaltą, główny ideolog tej wojny starał się pogodzić swe górne wskazania z potrzebami wspólnego działania Sprzymierzonych dla pobicia wspólnego wroga. Nie jednak nie zmienił faktu, że w najbardziej krytycznych chwilach tych zmagani właśnie słowa Prezydenta Roosevelta mobilizowały moralne i materialne siły wolnego świata, że w imię przez niego najwymowniej głoszonych ideałów Zjednoczone Narody doprowadzają do zwycięskiego końca największą wojnę dziejów ludzkości.

A posiew hasel Prezydenta Roosevelta nie zginał. Zakiełkował on głęboko w sercach ludów całego świata.

M. K. DZIEWANOWSKI

W I E R S Z E

PAMIĘCI STEFANA BORSUKIEWICZA*

*Kiedy serce żywe gnają wiatry,
Chwiejna czasza światłem się wypełnia,
A nad głową płasza żart skrzydlaty —
Majak szczęścia albo księżyc w pełni.*

*A gdy miejsca zabraknie w przestrzeni,
Oczy z nieba opadną w malignie;
Ziemia nagle uderzy o zenit
I na sercu zdumionym ostygnie.*

*Dziwny posmak w sekundzie odlotu
— Gdzieś pod słońcem zwiędnie srebrna chusta —
I tak łatwo zamienić się w motyw,
Kiedy tyle ich było na ustach.*

* Stefan Borsukiewicz, poeta-żołnierz, zginął śmiercią spadochroniarza.

EUGENIUSZ ROMISZEWSKI

DO SĄSIADA

*Jakaż siła drapieżna, niszcząca
Niepokojem kołata się w mózgu?
Czemu chciwie tak drga każdy muskuł?
Czemu w oczach zapala się żądza?*

*Bóg ci ziemię dał wielką i jasną,
Z głębi skał wypruł żyły beczenne
— I by wygnać z niej głód, czarnoziemem
Posmarował ją z wierzchu jak masłem.*

*Innym ciasno i biednie — lecz miło,
Bo u siebie — a to jest najdroższe.*

*A ty do nich dobierasz się nożem,
Kajdanami, i krwią, i mogiłą.*

*Szczęścia szukasz? Lecz ziemia umarła
Tylko straszy i w serce się wgrzyza.
Chociaż martwa, przybita do krzyża,
Przyjdzie nocą i skoczy do gardła.*

*Lepiej wróć — ulecz duszę zatrutą.
Ot, posłuchaj, co konik gra polny...
Ale wiem, gdy odkryjesz w nim wolność,
Opętany, rozdeptasz go butem.*

EUGENIUSZ ROMISZEWSKI

KRZYŻE PRZYDROŻNE

*Na drogach z Caen do Falaise
Chrystus na skrzyżowaniach
oczy ma pełne łez
i łzami twarz zastania.*

*Idę przez lasy do Argentan
smagany wzrokiem z krzyża.
W sercu mi ciągną gury Caen
i straszy duch Paryża.*

*Czerwoną krwią belkocze Dives
u stóp Chrystusa płaczem.
Kto z nas pozostał jeszcze żyw
pancerze w rzece płucze.*

*Jakże daleko tak mam iść
w panciernej awangardzie
i zamiast krzyżom kwiat i liść
kłaść trupy rząd przy rzedzie?*

*To nie bluźnierstwo, lecz modlitwa:
„Zejdź z krzyża Chryste, wstrzymaj nas!
Pokojem Bożym znów zmartwychstań
i wojnę zakończ! Już jest czas!”*

Normandia w sierpniu 1944 r.

WACŁAW LISZKOWSKI

DUMA O BANDERZE

*Widziata wiele burz i wiele chwały,
Upór i męstwo, wierność do ostatka,
A była zawsze dumna, więc w górę się chwiła
Ta samotna bandera samotnego statku.*

*A pod nią się kotysał żywej Polski kawał,
Toporem wojny odcięty od portu.
Tęsknił do Gdyni, więc w drodze przystawał,
Szukał wydm Helu pośród szkockich fiordów.*

*Syn pogrobowy poległych w Narwiku
Błądził po świecie wśród morskiej zawiei,
Przekraczał kręgi palące zwrotników,
Marząc, że ujrzy Ład Dobrej Nadziei.*

*Znał samotną banderę druh i nieprzyjacieli,
Powiewała w Sycylii, w Anzio i w Salerno,
Zdawało się, że kocha tę dolę tulaczą
... A ją jedynie gnała tęsknota bezmierna.*

*Aż dobiła do portu w dalekiej obczyźnie.
Pośród dziecięcych gwarów, dziecięcej radości,
Wśród tłumy polskich dzieci na maszcie zawiśnie:
Dar od Polski dzisiejszej dla Polski przyszłości.*

Założce O.R.P. „Narwik” pod wrażeniem uroczystości ofiarowania bandery dzieciom polskim w Nowej Zelandii — wiersz ten poświęca autor.

LEOPOLD HARTMAN

MacArthur wraca na Filipiny

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")

III. Kraj i ludzie

M.p. w lutym 1945

Archipelag filipiński należy prawdopodobnie do najrozleglejszych na świecie. Składa się on z 7100 wysp, spośród których wiele nie jest nawet oznaczonych na mapach. Kilka zaledwie ma ludność powyżej miliona. Archipelag rozciąga się 1152 mile od północy na południe i 688 ze wschodu na zachód. Ogólna powierzchnia wynosi 115.000 mil kwadratowych. Ludność wynosi w tej chwili ok. 18 milionów.

Jak miałem sposobność przekonać się osobiście — klimat jest tropikalny, powiedziałbym nawet bardzo tropikalny. Wielka jest ilość deszczów, monsoonów i tajfunów. Klimat ten wymaga oczywiście bardzo starannych urządzeń higienicznych i rozległego aparatu służby zdrowia.

Kraj jest bardzo bogaty: wiele odmian cennych drzew w lasach, które zajmują 65% obszaru, bogactwa kopalniane, jak złoto, srebro, miedź, ruda żelazna, mangan i ruda chromowa, żyzna ziemia — jedna z najurodzajniejszych na świecie, na której rosną wszelkie odmiany roślin tropikalnych i niektóre odmiany innych. Wody jest bardzo dużo, chociaż niezawsze bezpiecznie jest ją pić.

Obroty handlowe Filipin ze Stanami Zjednoczonymi były przed wojną bardzo ożywione. Głównym produktem wywozu z Filipin był cukier, który dzięki bezcłowemu obrotowi między metropolią a Filipinami stał się głównym produktem wysp. O ile się orientuję — sprawa utraty rynku amerykańskiego na rzecz cukru z Kuby, położonej znacznie bliżej Stanów Zjednoczonych, należy do największych bolączek polityków filipińskich, którzy zdają sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie nastanie z chwilą całkowitego oderwania się Filipin od St. Zjedn. Poważnymi produktami eksportowymi są: tytoń i kopra /cygara filipińskie uważane są za niemal dorównujące hawańskim/.

Najważniejszymi produktami rynku wewnętrznego jest ryż i ryby — główne składniki filipińskiego "menu".

Górnictwo rozwijało się ostatnio doskonale. Filipiny zajmują szóste miejsce w światowej produkcji złota, mają dużą ilość srebra, największe na świecie złoża chromu i największe na Dalekim Wschodzie złoża rudy żelaznej. Wszystkie te kopaliny znajdowały rynki zbytu w Stanach Zjednoczonych i Japonii.

Ludność archipelagu posługuje się 87 językami i narzeczami, między sobą jednak najłatwiej jest im porozumiewać się w języku angielskim. Najważniejszy język miejscowy *tagalog* został uznany za język oficjalny. Używa go ok. 25% ludności, rozumieją go zaś prawie wszyscy. Za panowania amerykańskiego na wyspach używano dwóch języków oficjalnych — angielskiego i hiszpańskiego. Statystyki wykazują, iż 27% ludności włada angielskim, zaś 3% — hiszpańskim. Mimo iż w czasie okupacji japońskiej ogłoszono za oficjalne języki japoński i *tagalog*, większość proklamacji i gazet musiano nadal drukować po angielsku.

Oficjalna publikacja Armii Stanów Zjednoczonych wspomina o znaczeniu strategicznym Filipin w samym centrum teatru operacji daleko-wschodnich jako o bardzo ważnym punkcie węzłowym dla komunikacji morskiej i lotniczej między Japonią, Chinami z jednej strony, a Indiami Holenderskimi, Indiami, Australią i Europą — z drugiej. Ta sama publikacja Armii Amerykańskiej stwierdza w konkluzji, iż Stany Zjednoczone muszą usunąć Japończyków z Filipin ażeby: 1/ wypełnić zobowiązanie wobec Filipin i zapewnić im niepodległość, 2/ utrzymać swoje stanowisko mocarstwa światowego i swój prestiż na Wschodzie, 3/ zapewnić sobie dostęp do ważnych surowców, 4/ urzeczywistnić nadzieję Filipinczyków i spełnić obietnice generała MacArthura: "Ja powrócę".

A teraz słów kilka o ludziach. Z tego krótkiego zarysu historycznego, który uprzednio poda-



Filipińczycy wracają do siedzib uwolnionych przez wojska amerykańskie

lem, nietrudno jest wnosić, jak różnorodne i często sprzeczne były wpływy, które kształtowały kulturę kraju i charakter narodowy. Nie ulega wątpliwości, iż wpływ hiszpański był dość duży — szczególnie w dziedzinie kulturalnej — niemniej jednak sądzę, iż polityka Stanów Zjednoczonych wobec kraju i jego ludności wywarła wpływ decydujący.

Pamiętam niedawną rozmowę z pewnym oficerem holenderskim o Filipinczykach. Holendrzy znani są z postępowej i bardzo rozumnej polityki kolonialnej. Niemniej jednak oficer ten skrzywił się niechętnie i powiedział: "Amerykanie klepią Filipinczyka po

ramieniu i mówią mu: "You are a good boy, buddy". — To nie jest polityka białych ludzi wobec kolorowych... Trudno wydawać jakiegoś zbyt autorytatywną opinię, mogę już teraz — po bardzo powierzchownych obserwacjach — stwierdzić, iż polityka ta daje dotąd lepsze wyniki, niż jakakolwiek inna stosowana przez ludzi białych w ich posiadłościach.

Filipińczycy zrobili na mnie wrażenie dużych dzieci — czasem trochę może rozkapryszonych. Lubują się w złocie i świecidełkach, stąd mundury, celników i innych urzędników szamerowane są złotem bardziej, niż jakiegokolwiek innego — może z wyjątkiem bardziej

operetkowych mundurów państw Południowej Ameryki i Bałkanów. Są mili, skromni, grzeczni, uprzejmi i bardzo gościnni. Korespondenci wojenni na Leyte, którzy zakwaterowani byli w domach tubylczych nie mogli w żaden sposób wyperswadować gospodarzom, by przyjęli zapłatę za mieszkanie i śniadania.

Są oni z natury spokojni i porządni, mają respekt dla władzy i są dobrym materiałem na żołnierzy. Nie są natomiast szczególnie pracowici. Posiadają dużą dozę dumy, godności i bardzo nie lubią być przedmiotem żartów lub kpin. Natomiast do śmiechu są zawsze skorzy. Ich osłabione poczucie hu-

moru i duma powodują nadwrażliwość na cokolwiek, co uważać mogą za nieuprzejmość w stosunku do siebie.

Filipińczycy są raczej leniwi i szczególnie niezdolni do rzemiosł i zawodów technicznych /jak zresztą większość ludów wschodnich z wyłączeniem może Chińczyków/. Są oni bardzo lekkomyślni i nie kłopotują się jutrem. Ta cecha ich charakteru w połączeniu ze słabością do rzeczy świeżących i nowych była źródłem wielkiej fortuny dla obrotnych kupców szanghajskich. Zamożny Filipinczyk uważał mianowicie za punkt honoru zmieniać auta dwa — trzy razy do roku, zwykle wybierając najbardziej luksusowe modele. Gdy kupował nowy wóz, nie troszczył się o poprzedni i sprzedawał go za bezcen. Mądrzy kupcy w Szanghaju wpadli na trop i zaczęli sprzedane samochody sprowadzać do Szanghaju, gdzie sprzedawali je po cenach niemal równych cenie nowych samochodów.

Filipińczycy bardzo lubią muzykę, literaturę i sztukę. Ich literatura odegrała wielką rolę w walce o niepodległość. Stąd ich sposób wyrażania się — bardzo literacki. Wśród pisarzy na pierwszy plan wysuwają się poeci na zupełnie dobrym poziomie. Twórczość literacka tubylców ma przeważnie treść bardzo uczuciową i romantyczną. Dziennikarz maniński, Carlo Romulo, który opuścił Corregidor razem z generałem MacArthur, obecnie zaś jest Komisarzem Cywilnym odzyskanych terenów, otrzymał wysoką nagrodę dziennikarską Stanów Zjednoczonych — nagrodę Pullitzera.

W ciągu ostatnich dwudziestu lat podniósł się również znacznie poziom audycji muzycznych; rozwinęła się znacznie Orkiestra Symfoniczna w Manili. Najlepszym dowodem, iż Filipinczycy są z natury muzykalni jest fakt, iż żniwa odbywają się zawsze pod akompaniament muzyki.

Ostatni okres przyczynił się znacznie do powstania odrębnego stylu budownictwa na Filipinach. Jest on w pewnej mierze mieszaniną budownictwa tubylczego ze stylem hiszpańskim, ostatnio doszło trochę "amerykanizmu" dość mizernej klasy.

Jedną z najbardziej osobliwych cech charakterystycznych obyczajów filipińskich jest jedyne na Wschodzie całkowite niemal równouprawnienie kobiet, które biorą udział w wyborach i urzędach publicznych, a także doradzają mężom w interesach. Wynikło to zapewne z ustroju matriarchalnego, który obowiązywał wśród wielu plemion tubylczych, a także z wczesnego wpływu Kościoła.

Podział społeczny jest bardzo silny. Około 5% ludności stanowi elitę, która kontroluje całe życie polityczne i gospodarcze — a także w dużej mierze kulturalne kraju. Wykształceni bogaci Filipinczycy żyją na wysokim poziomie, podczas gdy wielka masa chłopów i robotników rolnych żyje nadal w ciężkich i prymitywnych warunkach. Średnia klasa prawie nie istnieje. Początki stanowią urzędnicy państwowi niższych kategorii i sklepikarze, ale znowu większość drobnego handlu na Wschodzie jest w rękach Chińczyków /z wyjątkiem tych terenów, do których dotarli kupcy japońscy/. Tak więc demokracja polityczna Filipin musi przekształcić się w demokrację społeczną, co — sądzę — będzie dość trudne do przeprowadzenia.

Oddzielną grupą narodowościowo-rasową są Morosi, zamieszkali przeważnie na południowej wyspie Mindanao. Są to mahometanie, a więc kierują się bardziej przywiązaniem do religii niż do jakiegokolwiek władzy. Buntowali się oni ciągle przeciwko władzy hiszpańskiej, prowadzili partyzantkę przeciw Amerykanom do 1913 roku i są wszelkie dane po temu, iż Japończykom również nie udało się ich ujarzmić. Są to urodzeni wojownicy, często zabijający każdego spotkanego "niewiernego" i osobliwych wrogów. Są zdolnymi rzemieślnikami i dobrymi rybakami. Dawniej głównym ich zajęciem było korsarstwo.

RYSZARD KRYGIER



Oficer filipiński wśród mieszkańców wyspy Luzon

Poradnik żołnierski

Sierż. W. L-ki z 1 Dyw. Pańc.

Żona Pana ma zupełną słusność: każdy żołnierz przebywający poza terenem W. Brytanii, gdzie pozostał rodzinę, może przesłać do domu sześć paczek rocznie wolnych od cla i podatków. Z tym jednak zastrzeżeniem, że żadna z paczek nie może przekroczyć wartości £2 i posiada nalepioną specjalną naklejkę /W.5192/, którą podpisuje nadawca paczki i wydający ją oficer. Po druczku te należy się zgłaszać do oficera gospodarczego oddziału. Paczki wysłane bez tych specjalnych nalepek bywają ocone, co z t.zw. *purchase tax*, w wielu wypadkach przewyższa koszt przesyłanych przedmiotów. Nie dziwię się, że w takim wypadku żona Pana nie jest zadowolona z prezentów.

St. strz. M.N.

Ponieważ otrzymał Pan kategorię E, nie widzę możliwości, by Pan mógł pozostać w czynnej służbie wojskowej, nawet "na własną prośbę", gdyż byłoby to sprzeczne z postanowieniami ustawy o powszechnym obowiązku wojskowym. Wspomina Pan

w swoim liście, że zna Pan wypadki, w których w drodze wyjątku zezwolono na dalszą służbę żołnierzom posiadającym kat. E. Rzeczywiście, wyjątki takie istnieją. W dalszej czynnej służbie wojskowej, mimo zakwalifikowania przez Wojskową Komisję Lekarską do kat. E., mogą pozostać za osobistą zgodą Ministra Obrony Narodowej jedynie i wyłącznie podoficerowie zawodowi. Ponieważ Pan nie jest podoficerem zawodowym, nie przewiduję, aby prośba Pana, o ile ją Pan zechce złożyć do władz wojskowych, mogła być uwzględniona.

Radzę jednak zrobić coś innego: o ile posiada Pan odpowiednie wykształcenie i fachowe urzędnicze przygotowanie, po zwolnieniu z wojska może się Pan starać o przyjęcie na urzędnika wojskowego.

Dziękuję serdecznie za życzenia — oby nam było pisane jak najprędzej wrócić w progi rodzinnych domów, w naprawdę Wolnej i Niepodległej Polsce.

Kapitan M.N.

W sprawie wystania jakiejś wia-

domości do rodziny wywiezionej do Z.S.R.R. proszę się zwrócić do P.C.K. Jest możliwe wysyłanie krótkich, prywatnych wiadomości, przy pomocy *airgraph'ów*. Z doświadczenia wiemy, że tylko krótkie wiadomości mają szansę dojścia do adresata.

Chorąży T — ski.

Ponieważ spędza Pan urlop na terenie Anglii, o przedłużeniu proszę się zwrócić bezpośrednio do Komendanta Polskiego Biura Wojskowego w Londynie /adres: 145, Harley Street, London, W.1/. Powody, które skłaniają Pana do przedłużenia urlopu, są tak ważne, że nie przypuszczam, by prośba Pana była nieuwzględniona. Przy sposobności podaję, że ci żołnierze, którzy urlopy spędzają na terenie Szkocji, mogą zwracać się o przedłużenie urlopu do Komendanta Polskiego Biura Wojskowego w Edinburgu /adres: 17, Walker Street/. Przedłużenie urlopu może nastąpić tylko wyjątkowo w bardzo ważnych wypadkach. Życzę Panu powodzenia. Proszę się nie przejmować chwilowymi niepowodzeniami.

Lament odgrzewanego myśliwca

Z Wredna!* kuchni myśliwskiej, wychodzą nie tylko świeżo upieczeni myśliwcy, lecz również i odgrzewani. Kto zbyt długo pokutował na "odpoczynku", aż ogień myśliwski przygasł w jego piersi, komu ręka odwykła od drążka ze spustem działek i karabinów, dla kogo trzysta mil na godzinę jest niezwykle szybko, a dwadzieścia tysięcy stóp — dziwnie wysoko, ten idzie do Wredna, na "refresher'a".

Tam z niego najpierw szydzą, pytając, czy przyszedł na instruktora, następnie na dalsze tortury oddają w ręce instruktora belgijskiego, o nazwisku *Dieu*. Łatwo zrozumieć, że w rozmowie z nim nie należy wykrzykiwać: *Oh, mon Dieu!* Tenże *Dieu* uważa *refresherów* za "gremliny" to znaczy twory złośliwe, które nie pozwalają regularnie latać regularnym kursistom. Dawkuje im /*refresherom*/ przeto "Spitfire'a" w ilości 1 — godziny na tydzień. O wypadkach śmiertelnych ogłasza pozostałym przy życiu pilotom w formie: — "Dopiero co udało mu się zabić się" — /*Just managed to get killed*/.

Trudno dłużej ukrywać, że sam do Wredna poszedłem na odgrzanie. Fakt ten wywołał żywe poruszenie wielu kół i liczne komentarze. Znajome Angielki, porobiły zamówienia na perfumy i jedwabne pończochy; życzliwi Anglicy zdziwili się: — "*You have done your share*"; życzliwi Polacy to samo: — "Zrobiłeś swoje" — mówi. "Czas też robi swoje" — odpowiedziałem. Władek, prezes Klubu Pesymistów, starał się powstrzymać mnie argumentem: po co przedłużać wojnę, a nawet dawać Niemcom szanse zwycięstwa? A w dywizjonach zaczęto mówić o potrzebie ODMŁODZENIA stanu myśliwskiego.

Ale i tak poszedłem. W Wredna zaprzyjaźniłem się z Belgiem i dzięki temu już w pięć tygodni skończyłem dziesięciodniowe *refresherment*. Z Wredna posłali mnie do G.S.U.

Nikt dokładnie nie wie, co znaczą litery G.S.U. Jest to *airfield*, w Anglii, skąd idzie się już prosto do dywizjonu, po należytych wyekwipowaniu we wszystkie luksusy myśliwskiego ubrania: futrzana kurtka, futrzane, rozkoszne buty, z których cięciem scyzoryka można zrobić wykintne, cywilne półbuty, ciepła bielizna — wena z jedwabiem. Możliwe, że G.S.U. znaczy: Grunt Się Ubrać.

Tu również lata się, już na ostatnim typie "Spitfire'a", tym samym, na którym latają dywizjony. Numeru oczywiście nie mogę wymienić, bo to straszna tajemnica wojskowa. Ciekawych odsyłam do codziennej prasy angielskiej; tamże fotografie samolotu.

Tutaj więc dosiadłem tego "Spitfire'a" . . . atkę, żeby zmniejszyć jego siły i możliwości. /Raczej własne siły i możliwości? Są przeróżne wielkie. /Jego, nie moje/. Trzy razy więcej koni, niż w tym silniku, z którego byłem dumny, jak paw, w 1940 roku.

Poleciałem na południe, nad morze, bo nad wybrzeżem najtrudniej zabłądzić. /A propos: zabłądzić — znowu mi się przypomina mój przyjaciel Zbyszek, instruktor pilotażu. O dziesięć mil od Torturton jest wyniosły zamek, Biber Castle; kiedyś przy dobrej pogodzie widać go było z lotniska w Torturton, na co zwróciłem uwagę Zbyszka. — "Więc to jest Biber Castle? — zawołał Zbyszek — właśnie, kiedy do tego zamku dolatuje, to już wiem, że zabłądziłem".

Przepraszam, już nie będę. Poleciałem więc na południe, przeleciałem nad Winchester, uroczym, starym miasteczkiem, z poważną, surową katedrą; trzymam się rzeki, która doprowadziła mnie do morza. Po drodze Southampton.

I nagle nad Southampton, patrząc na wynurzającą się przed mną z mgieł Isle of Wight, doznaję dziwnego wstrząsu: wrzesień, 1940. Tutaj, nad Southampton zaczyna się moje myśliwskie latanie; tutaj, w angielskim, 561ym dywizjonie, w dwunastkę witamy "Dornieri", "Junkersy" i "Messerschmitty", przylatujące z za Kanalu setkami, tutaj, w pierwszym locie operacyjnym, gubię

prowadzącego i w śmiertelnym strachu szukam go pomiędzy niemieckimi maszynami; tutaj, zatakowany od tyłu, zawiązuję rozpaczliwy *dog-fighting*, poczę się w ciasnych skrętach, wsiałam na ogon przeciwnikowi — i wtedy dopiero spostrzegam, że jest nim kolega z mego dywizjonu; tutaj, po raz pierwszy, wpadam w balony w chmurach /po raz drugi — w Newcastle, w rok później, wychodząc z nich tą samą metodą: z zamkniętymi oczyma/.

Dzisiaj nie ma już balonów nad Southampton, nie ma nad Newcastle, nigdzie już nie zagrażają one pilotom, stosującym myśliwską nawigację; powietrze nad Anglią zyskało dzięki temu wiele na uroku.

Kraję dalej nad Southampton. Coraz więcej wspomnień odżywa na widok tak dobrze kiedyś znanych zarysów lądu i morza. Mój przyjazd do dywizjonu i straszna trema: mam wylatane czternaście godzin na "Hurricane'ie" w O.T.U. — i to wszystko. Nie bawiono się wtedy w gruntowne szkolenie.



Eskorty

Podczas ostatniego krótkiego urlopu Faraona, pojechalśmy z nim razem odwiedzić Małego i Dużego Leszka w ich dywizjonie w W. Brytanii. Przybyliśmy na tę stację myśliwską koło godziny dziesiątej przed południem, i — naturalnie — zastaliśmy na miejscu tylko personel ziemny, bo nasz dywizjon jeszcze nie wrócił z nad Kontynentu. Poszliśmy więc na lotnisko obejrzeć bliżej samoloty, których Faraon nie znał, jako że stale lata na "Spitfire'ach", a to były "Mustangi".

Oczywiście Faraonowi nie może się podobać żaden inny samolot prócz "Spitfire'a", więc jakkolwiek zachwalałem wszystkie wspaniałe zalety tej maszyny myśliwskiej o wielkim zasięgu i udźwigu — Faraon odnosił się do niej nadal z najwyższym powątpiewaniem.

— Watpie, czy "toto" w ogóle lata — oświadczył. — A jeżeli nawet lata, to czy na tym można dogonić "Focke Wulffa" i narobić mu nieprzyjemności . . .

Wzruszyłem ramionami. — Jeżeli uważasz, że zestrzelenie szesnastu "Focke Wulffów" przez ten dywizjon w jednym tylko locie nie jest dla Niemców prawdziwą przykrością, to rzeczywiście nie ma o czym gadać.

— No, raz im się udało . . . przyznał niechętnie.

— Wcale nie raz, bo już mają kilkudziesięciu. Ile razy dochodzi do spotkania, "Mustangi" dają Niemcom taką samą szkołę, jak wy: piorą ich, aż iskry idą!

— No, a co mają robić? — powiedział wykrętnie. — Rezedę wachać? Ale ja wolę "Spitfire'a".

Nic mu już nie odpowiedziałem, bo po pierwsze nie było warto, po drugie zaś — zobaczyliśmy obaj wracające w szyku "Mustangi", co ostatecznie musiało nawet najbardziej upartego osła przekonać, że "toto" lata i w dodatku pięknie lata.

Podeszli, wylądowali, odkołowali na miejsca i wreszcie objawił się Mały Leszek, jak zwykle, w towarzystwie Dużego. Po odbyciu przepisowej "spowiedzi" u oficera wywiadowczego, zabrali nas do kasyna. Faraon opowiadał szczegółowo o ostatnich swoich przygodach i o kolegach ze skrzydła "Spitfire'ów", poczem zapytaliśmy, co tutaj słychać.

Operational Training Unit obznajmiało nas właściwie tylko z kabiną samolotu i dawało nieco praktyki w lądowaniu. Wtajemniczenie w taktykę myśliwską ograniczało się do częstokroć powtarzanego przez komendanta O.T.U. zdania: "*Never, never, never follow the enemy down!*" /Nigdy, nigdy, nigdy nie ścigaj, nieprzyjaciela w dół/ — Do dziś dnia nie wiem, dlaczego.

Nie dziwnego jednak, że przeszkolenie na operacyjnego myśliwca trwało wtedy tydzień, lub dwa: "*Battle of Britain*" /Bitwa o Wielką Brytanię/ zaczęła się, straty były wielkie, duży obrót — mały zysk. Niedośzkoleni myśliwcy szli do dywizjonów i uzupełniali swoje wyszkolenie w operacjach. Dlatego największy procent strat był w pierwszym spotkaniu. Kto przeżył trzy walki, ten miał szansę przeżycia Bitwy o Brytanię; był już doświadczonym weteranem.

Przyszedłem wtedy do dywizjonu, jako myśliwski golowas, złotodźiób, podfruwajek. "Hurricane I"

był dla mnie samolotem za dużym, za silnym, za szybkim. Co gorsza, moja angielszczyzna była uboga, a przez radio — ostatnia nędza — ani na odbiór, ani na nadawanie, a dywizjon był angielski. Na szczęście, dowódca się jękał, mówił więc powoli, a wiele słów powtarzał po kilka razy, w całości, lub częściowo, co ogromnie ułatwiało mi zrozumienie go.

Dowodcą *flight'u* był "J a m b o", myśliwiec z krwi i kości, nawet więcej krwi, niż kości. "J a m b o" zaraz na początku swojej kariery myśliwskiej, jeszcze we Francji, nadkręcił sobie kark przy kraksie: kiedy zestrzelił pierwszego w życiu Niemca, tak był ciekaw, że próbował wylądować obok szczątków swojej ofiary. Skończyło się tym, że "Hurricane" fiknął kozła, a "J a m b o" poszedł na miesiąc do szpitala. Po *Battle of Britain* "J a m b o" latał na Malcie i tam zasłynął na cały świat myśliwskim astronomiczną liczbą zestrzeleń.

Moim dowódcą sekcji był "T a f f y", błąd, chudy i mało-mówny, z długimi, kręconymi wą-

sami. Mówiono, że mechanicy zawsze zamykali mu kabinę przed wykolowaniem, podczas gdy "T a f f y" oburacz przytrzymywał wasy, bo przyciąłby je niechybnie, gdyby próbował zatrzasknąć kabinę w locie. "T a f f y" latał precyzyjnie, widział w powietrzu wszystko i strzelał nieomylnie; kiedy prowadził sekcję, lub flight, czuło się zaufanie nie tylko do niego: nabierało się pewności we własne siły. To wielki atut dowódcy, jeśli włada czałem dodawania innym zaufania do siebie samego.

Ale wszystkich o wiele przerażał w enotach myśliwskich — Beamish, wielki Victor Beamish, który prowadził nasz *wing* pod koniec *Battle of Britain*, a potem wiodł nas na pierwsze, najpierwsze *sweep'y* nad okupowaną Francją, przedwieśnią 1941 roku. Nikt dziś nie wie dokładnie, ile stracił naprawdę miał na swym rachunku nieodżałowany Beamish, bo jeśli do ostatecznej kraksy nie śledził swej ofiary — nie zaliczał sobie Victor takiej wiktoria. — "Palił się, ale nie wiem, co się dalej stało" — mówił "inteligentem" i nie pozwalał im powiększać swego konta zestrzeleń. A było ono pokaźne.

Tak sobie wspominałem — nie, nie przez cały czas nad Southampton — minąłem Bournemouth, doleciałem do półwyspu Portland, zawróciłem, i, lecąc nad lądem, rozpoznawałem lotniska, z których jesienią 1941 roku, już w polskim dywizjonie, lataliśmy nad Cherbourg, Brest i to, co między nimi.

"Lataliśmy na Cherbourg". Przyszło mi do głowy, że, gdyby to zdanie usłyszał młody myśliwiec, który lata od pół roku, byłby niechybnie przekonany, że znać to: bombardowaliśmy Cherbourg. Uprzytomniłem sobie nagle różnicę pomiędzy lataniem myśliwskim wtedy i teraz, różnicę zadań, sposobów i środków. "Wtedy" — to było czyste, myśliwskie latanie: cel był w powietrzu, wróg w powietrzu i walka w powietrzu.

Trzy fazy można rozróżnić w okresie 1940 — 1942. Pierwsza, *Battle of Britain* — typowe, najbardziej myśliwskie latanie: samolot przeciw samolotowi, pilot w walce z pilotem, ziemia nie miesza się do wojny nad obłokami. Druga faza — ochrona konwojów, już związana z ziemią /przepraszam, z wodą/, ale przeciw atakom z powietrza, przeciw samolotom. Trzecia faza — *sweep'y* nad okupowanym terenem, bądź jako eskorta bombowców czyli znów przeciw atakom z powietrza, bądź jako wyzwanie do walki, prowokacja nieprzyjaciela do przyjęcia spotkania — w powietrzu.

Ale w tej trzeciej fazie przychodzi początek zniżenia lotów myśliwskich: zaczynają się loty na "rhubarb": ostrzeliwanie celów ziemnych, lotnisk, stanowisk artylerii, a w pewnym okresie — gorzelni spirytusowych. Celem tego ostatniego jest zmniejszenie nieprzyjacielskiej produkcji materiałów pędnych. Gorzelnie zapalić łatwo, a pali się pięknie, wielkim, błękitnym płomieniem. Na te loty starano się wysłać harcerzy i abstynentów: "trunkowi" nie mieli serca niszczyć takich zapasów alkoholu.

A potem biednym "Spitfire'om" podwieszono bombę. Na początek — jedną lekką, na próbę. Potem podwieszono cięższą bombę, żeby przyzwyczaić. Potem dwie. Wreszcie trzy bomby, trzy grube, tłuste, ciężkie bomby. Cóż za okrucieństwo!

Wzdygnęła się rasowa, myśliwska maszyna, wydłużyła start, ciężko wzniosła się w powietrze, zleniwiała w zakręcie. Kazano jej bombardować, kazano jej odstawiać robotę "Lancaster'ów"; mało tego: kazano jej ostrzeliwać kolumny, zatapiać barki, niszczyć punkty oporu, walczyć z czołgami! — Ta po co panu piechota, panie Eisenhower, myśliwcy zrobią całą robotę!

W tym miejscu ze złością podciągnął maszynę, żeby wylądować swój gniew i żal w beczce. W porę sobie przypominałem, że z dodatkowym zbiornikiem nie wolno kręcić akrobacji!

Otóż macie nowoczesnego myśliwca!

* Wszystkie nazwy miejscowości o znaczeniu wojskowym — są zmyślone.

Dwa listy do Jana

Z korespondencji, którą otrzymuje autor "Listów do wspólnych spraw" drukujemy dziś dwa głosy, wyróżniające się sposobem i poziomem ujęcia pewnych "wspólnych spraw". Na inne listy "Jan" odpowie w następnych swoich "Listach do wszystkich".

Prosimy o kierowanie uwag, odpowiedzi i zapytań do redakcji "Polski Walczącej" z zaznaczeniem: "Dla Jana".

I.

Kochany,

Nie powinienem właściwie tak pisać, bo nie mam do tego prawa. Nie jestem Twoim bratem, ani w ogóle krewnym. Nigdy brata nie miałem, jestem jedynakiem. Istnieje jeszcze i inna przyczyna — po prostu nieśmiałość. Bo Ty musisz być napewno ogromnie mądry i uczony człowiek, pewnie dużo czytałeś, nauczyłeś się pięknie myśleć i jeszcze pięknie pisać. A ja jestem zwyczajny, prosty i niedokształcony człowiek. Mniejsza o to, kto temu winien, czy los, czy ja sam, czy społeczeństwo, czy państwo. Dość że jestem człowiekiem prostym i pięknie się wyrażać ani pisać nie potrafię.

Ale oto, pewnego dnia, w niedługi zresztą czas po moim przyjeździe do Anglii wpadł mi w ręce jeden z Twoich listów, wydrukowany w "Polsce Walczącej". Już po pierwszych kilku zdaniach zacząłem go czytać uważnie i przeczytałem jednym tchem. I wtedy pomyślałem sobie zaraz, że znalazłem brata. Mądrzejszego, starszego ode mnie, ale napewno brata. Bo można mieć brata z ciała i brata z ducha. Ty jesteś tym drugim. Twoje myśli przeżyłem sam, może w innej formie, ale treść była taka sama. A przecież właśnie o to chodzi.

Ale, zanim zacząłem pisać o innych, ważniejszych rzeczach, chciałbym Ci powiedzieć kilka słów o sobie. Jestem żołnierzem, jak się tego już pewnie domyśliłeś. Nie dośłużyłem się jeszcze żadnego stopnia, bo noszę polski mundur dopiero od kilku tygodni. Mam lat 22, pewnie dwa razy mniej niż Ty, pochodzę z rodziny robotniczej z Torunia. Było nas troje. Ojciec jeszcze jakimś cudem żyje dotychczas, ale matka umiała. Wiesz — Oświęcim, wołę o tym nie pisać. Do wybuchu wojny zdążyłem skończyć cztery klasy gimnazjalne. Potem już było niemożliwe, musiałem tak jak wszyscy brać się do roboty, żeby jakoś żyć.

O tych trzech latach wojny nie będę opowiadał — bo za długo. A w jesieni czwartego roku /matki już w domu nie było/ jednej nocy przyjechała pod dom ciężarówka, ojca zostawili, bo pracował w fabryce, mnie załadowali do budy i wywieźli. Nawet nie starałem się bronić, bo ich było kilku silnych chłopów, a ja jeden. Już zaraz w tej budzie poznałem kilkunastu innych. Potem poznałem dużo, dużo więcej. Ale to już było w obozach, a potem przy łopacie czy kilofie, przy robotach fortifikacyjnych.

Bieda między nami była wielka, jeść dawali źle, a pracować kazali ponad siły. A ja wcale nie byłem najmłodszy w gromadzie. Czas włókł się okropnie powoli, tym wolniej, im głośniej krzyczyli nam przez radio o niemieckich powodzeniach. Potem losy się zmieniły. A potem pewnego dnia usłyszeliśmy polskie armaty i zobaczyliśmy polskie mundury. Skończyła się poniewierka pod obcym batem, a zaczęła się służba pod własnym sztandarem.

Oto moja historia. Moja i wielkiej gromady moich współtowarzyszów. A dzisiaj towarzyszy broni. Ale nie o przeszłości chciałem w tym liście pisać. Przeciwnie. Chodzi mi o czasy, które idą, albo ku którym my idziemy. My, to znaczy ja i moi koledzy, młodzi żołnierze, jak to się mówi "szary tłum".

W ostatnim twoim liście pisałeś o "stanie zagrożenia". Pisałeś słusznie, że wytwarzanie tego stanu, to jeden więcej sposób działania nieprzyjaciela, broń taka dobra, jak każda inna. Długo sobie o tym wszystkim myślałem i doszedłem do przekonania, że my, ci najmłodszy żołnierze, ci którzy przyszli czy to z Francji, czy z Niemiec mieliśmy z nim do czynienia nieustannie przez ostatnie lata. Przez kilka lat my wszyscy nie mogliśmy ani na jeden dzień pozwolić sobie na wygodną, rozluźnioną postawę. To męczący. To był front nie gorszy

od prawdziwego bojowego frontu. Kto raz się potknął, już się zazwyczaj nie podniósł. Ty nawet nie wiesz, jak strasznie łatwo raz nałożysz wygodne pantofle i szlafrok zapomnieć, kim się jest i jak się człowiek nazywa.

Ale trzymając twarzą w garści sumienie, a jeszcze twardziej zmysły, zapomnieliśmy o jednym. Zapomnieliśmy o uśmiechu. Pomyśl tylko szesnasto czy siedemnastoletni chłopcy, którzy się nie śmieją, nie cieszą, nie bawią. Łatwo teraz zrozumiesz dlaczego wielu z nas ma takie poważne twarze, nie pasujące do lat. A były to właśnie lata dorastania, dojrzewania, dochodzenia do rozumu. Nawet drzewo, jeżeli rośnie spięte w żelaznych klamrach, musi się wykrzywić, a co dopiero młody chłopak.

Tylko że my łatwiej umiemy się rozprościć. Nie odrzucając oczywiście. Może się zdziwisz, jeżeli Ci powiem, że jeszcze teraz, po kilku tygodniach wolności i w warunkach życia, o których nam się nie śniło, jeszcze teraz nie umiemy śmiać się naprawdę, nie chodzimy do kina, chociaż są i pieniądze i miasteczko, jeszcze teraz nie poznajemy szkockich dziewcząt, trzymamy się razem i patrzymy na świat z ukosa. Podobno jeżeli komuś uciąć rękę, to ją jeszcze długo czuje. Z nami tak samo.

A teraz, Kochany, postuchaj o najważniejszym. Zresztą pisałem już o tym w naszej gazecie ściennej, ale nie wiem, czy ona wszędzie dochodzi. Dlatego piszę do Ciebie. My wszyscy wiemy dobrze, że jesteśmy Polakami. Wiemy, bo nas za to wywozili na roboty, za to głodzili, za to nie oszczędzali batów. Mimo to pozostaliśmy nadal Polakami, czego dowodem mundury, które nosimy.

Ale widzisz — mundur, którego na wieszaku nie wieszysz, nie pra-

sujesz, nie czyścisz, przedko przestaje być mundurem, a staje się lachmanem. Traci formę. Tak samo człowiek. Nie wystarczy, że się urodził obywatelem jakiegoś państwa, czy członkiem jakiegoś narodu. Trzeba mu coś więcej o tym narodzić powiedzieć. Poznać z jego historii, nauczyć o ziemiach, na których żyje, o pniu, z którego wyrasta. To właśnie ten wieszak, czy to żelazko, dzięki któremu mundur trzyma fason, a Polak nie jest tylko Polakiem z urodzenia, ale i z przekonania. Jest obywatelem oświeconym, a przez to pełniejszym i odporniejszym.

Dla nas polskość jest dogmatem, nietykalną prawdą. Dogmatu nie trzeba rozumieć. Musi się weni wierzyć. Natomiast naszej religii narodowej brakuje jednej rzeczy — brakuje ewangelii, dobrej nowiny. Ewangelia o Polsce musi nam dać wy, właśnie ci starsi, ci mądrzejsi, ci co tę Polskę znają lepiej i lepiej rozumieją.

I oto raz jeszcze wracam do "stanu zagrożenia". Powtarzam, byliśmy długo pod jego panowaniem. Obcięta nogę ciągle jeszcze czujemy, lecz równocześnie te kilka lat codziennej walki o dogmat Polskości jeszcze ciągle trzymają nas w postawie na baczność. Ale pamiętaj — my także kiedyś nauczymy się śmiać. Życie mamy tańsze, jesteśmy młodzi, będziemy z każdym dniem młodszy, więc bardziej gietcy, podatniejsi dla stanu zagrożenia. Nie wolno dopuścić do tego, żeby znów przyszedł, chociaż z innej strony. Chcemy od was usłyszeć ewangelie o tej Polsce, która była i o tej, która jest teraz, a wtedy my wszyscy nie tylko będziemy wiedzieć, ale będziemy rozumieć, jaka ta Polska w przyszłości być musi. Jeśli dzisiaj zrozumiemy, to jutro "stan zagrożenia" może sobie cho-

dzić spokojnie koło obozu, ale go wartownik nie wpuści, a pojutrze prawdziwy żołnierz-obywatel wejdzie do prawdziwej wolnej Ojczyzny.

Kończąc ten list posyłam Ci pozdrowienia, ja i wszyscy twoi bracia duchowi, a moi koledzy, z których pomocą napisałem to wszystko.

Twój kochający Cię brat

KAROL

II.

Kochany Janie,

Odpisuję Ci tą samą drogą, którą Ty pisałeś do mnie, to znaczy przez "Polskę Walcząca". Choć dzisiaj dzieli nas olbrzymia przestrzeń, jesteśmy jednak bardzo blisko sobie. Ty i ja, zarówno jak i każdy żołnierz, który nas rozumie. Szkoda tylko, że nie możemy pogadać sobie czasem "na gębę". Tak, jak dawniej. Jak to się nieraz mówiło "z serca i chlebaka", z którego zawsze wyjadałem Ci zimny "beef" — pamiętasz?

Ponieważ obaj jesteśmy żołnierzami, miejsca naszych dalekich przemarszów i postojów są bez znaczenia. Wszystkie nasze drogi prowadzą do kraju i znaczymy je wszędzie jednakowo: Orłem Białym i mogiłami kolegów. Wzajemnej wymianie myśli nie przeszkadza to, że Ty jesteś tak bardzo daleko, a ja ciągle tutaj. Wspólna służba łączy nas w oddalonych szeregach.

W jednym z ostatnich listów do mnie wspomniałeś o zasadach, jakie obowiązują ludzi honoru w obliczu katastrofy. Wtedy jeszcze obaj nie wiedzieliśmy o "desce ratunku", którą łaskawa katastrofa namyśla się, czy ma ją nam rzucić.

Zapewne słyszałeś już o tym — choć jesteś tak daleko — że są lu-

dzie, którzy w obliczu katastrofy chcą nam ofiarować paszporty. Cudzoziemskie oczywiście, bez orzeków! I, że są inni ludzie, którzy wielkie przeszkody stawiają przed sprawą ewentualnych możliwości otrzymania tych paszportów przez nas.

Pomyśl, czy rozważam słusznie: 1/ zamiarem tych, którzy chcą nam ofiarować cudzoziemskie paszporty, jest chęć spłacenia dług raczej niezbyt wielkim kosztem i chęć uspokojenia własnego sumienia. Taki dług jednakże nie da się nigdy takim tylko spłacić kosztem. Bo, czyż godzi się na jednej wadze mierzyć ciężar polskiej krwi i polskich cierpień, chociażby nawet z ciężarem paszportów brytyjskich?

2/ myślą zaś tych, którzy stawiają wielkie przeszkody przed sprawą możliwości otrzymania obcego obywatelstwa, czyż nie jest chęć podbicia w górę ceny paszportów?

Mnie się wydaje, że to licytacja.

I ci, i tamci, tej samej sprawie służą: przeceniają papier, na którym chcą wypisać nazwiska polskich żołnierzy. Pomyśl tylko, to wszystko — za Warszawę, Cassino, Falais i Brede. Za męczeństwo w imię wspólnej wolności, za widma z Dachau, z Oświęcimia i Oranienburga i z tych innych kaźni, gdzie, jak słusznie pisałeś, nie ma ani jednego Niemca, i gdzie jeden człowiek decyduje o tysiącach żyć i śmierci ludzkich.

Pośród targów nikt nie zapytał nas o to, czy my się zgodzimy? Zupetnie tak samo, jak nie zapytano nas, co myślimy o t.zw. "linii Curzona"? Odebrano nam prawo głosu i miejsce w San Francisco. Bo głos nasz jest siłą ducha, dla którego gwałt, ani przemoc, ani bramy śmierci cielesnej nie istnieją.

Czy my się zgodzimy? W naszym gronie dość dużo się gadało.

—Kazek! — splunął! Właśnie... Kazek! Pisałem Ci niedawno o nim, że opuścił się bardzo, że się martwi, zobojeźniał na wszystko i — buty przestał czyścić. Na nie zdążył się nasze tłumaczenia. Chłopak załamał się zupełnie. Ostatnie dni utwierdziły nas w tym, że Kazek naprawdę nie widzi i nie nie słyszy, co się wokół niego dzieje.

Byliśmy jednak w błędzie. Pewnego dnia Kazek usłyszał — o paszportach właśnie. Odmieniło go odrazu. Ledwieśmy go poznali. A buty — zabłocone i zakurzone zwykle, błyszczały odświeżone, jak na Wielkanoc.

—Co, już się strugasza na obywatela "brytyjskiego"? Poczekaj, trochę za wcześnie... — żartował śmiejąc.

Ale Kazek tak spojrział na nas, żeśmy się wszyscy zawstydzili. Nie obrazili się jednak.

—Wiedzie, co mi się śniło tej nocy? — powiedział.

Cisza.

—No? ... zapytał któryś z nas.

—Ezaw — odpowiedział uroczyście Kazek.

Spojrzeliliśmy na niego ze zdumieniem.

—Ezaw — powtórzył Kazek — wiecie przecież, ten, biblijny, co sprzedał pierworodztwo za miskę soczewicy.

Zapanowało milczenie.

Janie! Gdybyś był tu wtedy pośród nas i przemówił po dawnemu — byłoby... nie umiem Ci tego napisać, było by może coś głośniejsze i bardziej zrozumiałe. Na szczęście jednak miałem Twój list, wyjęty z "Polski Walczącej". Wyjęty go z zanadru i przeczytałem na głos:

"żadna sytuacja nie jest rozpaczą, dopóki zasady, na których opieramy naszą postawę moralną, nie uległy rozkruszeniu".

Spojrzałem na błyszczące odświeżone buty Kazka. Ludzie o takiej postawie mogą się czasem chwilowo załamać — to jest przecież zwykłe i ludzkie. Ale w chwili decydującej, w chwili ważnej — wiedzą zawsze co mogą robić. Co jest sprawiedliwe i słuszne. Mają "nos" — tacy nigdy nie pójda na licytację.

Tyle chciałem Ci tymczasem napisać — wybacz, że tak prosto i bez filozofii — co myślę o zasadach, które obowiązują ludzi honoru w obliczu katastrofy.

Twój kochający Cię brat

STANISŁAW

Skrzynka pocztowa

LIST WILNIANINA

Szanowna Redakcjo!

Zwracam się z prośbą o umieszczenie moich skromnych wspomnień i uwag, bo gdy człowiek w szpitalu ma dużo czasu na refleksję, a wiadomości polityczne są takie... to w końcu zaczyna chorować na "literaturę". Proszę o zamieszczenie, bo wierzę, że głos tego, co walczy od 1 września 1939 roku przyniesie pożytek wspólnej sprawie.

Pamiętam tragiczną jesień 1939 r. Listopad, na Roscie tłumy, mauzoleum i groby obrońców Wilna toną w kwiatach, jodły przybrane barwami narodowymi, groby żołnierskie jarzą wielką ilością świec, choć trudności wojennego życia już dały się we znaki, tłumy młodzieży śpiewają Rotę, "Jeszcze Polska nie zginęła" aż do bojowego zewu "Warszawianki". Okrzyki na cześć armii na obczyźnie i nowego rządu we Francji, chcą po stokroć stwierdzić, że z serca polskość wyrwać się nie da. Po długich śpiewach i okrzykach ruszono na miasto. Na mieście: kordony wojska, policji konnej, lekkie czołgi. Wynik: masakra, aresztowania.

1-go maja 1941 r. wszyscy pod największymi represjami muszą uczestniczyć w pochodzie, biorą w nim również udział szkoły wileńskie. Na wybudowanych trybunach "komandiry" — przy mikrofonach spee wznoszący okrzyki. Gdy przechodzi młodzież, na trybunach konsternacja, nie słychać nawet anemicznych okrzyków, jak u innych uczestników pochodu. Młodzież polska idzie w milczeniu, nie odwracając głów w stronę trybun, wciąż jeszcze słychać zachęcające, ale daremne okrzyki "ura... ura".

Wkrótce młodzież polska zapłaci za tę defiladę. Czerwiec 1941, Wilno ma więcej N.K.W.D. niż mieszkańców. Nadeszły dni masowej deportacji. Przed każdą bramą stoi wóz ciężarowy, przed niektórymi domami po kilka wozów. Trudno się zorientować; wywożą wszystkich, biednych i bogatych, inteligentów i analfabetów, ludzi porządkowych i szumowin, dzieci i starców, ba nawet obłożnie chorych i inwalidów, tłumy zakonnice i duchowieństwo, młodzież obojga płci, zabierają całe rodziny lub obcych. Trwa to z niezmierzonym nasileniem szereg dni. Po pewnym czasie ilość maszyn znacznie zmalała, za to pociągi tarasowały dworce wileńskie, nawet w Wilejce było ich pełno. Wagony... wagony. Ludzie mdleją z gorąca, kobiety, niemowlęta, starcy, lecz gdy tylko pociąg rusza, śpiewają "Jeszcze Polska nie zginęła". Tragiczna defilada — to było to, co z serca nie da się wydrzeć.

Wiosna rok 1942: ulicami Wilna idzie długa kolumna, przymusowo zabrani na roboty do Niemiec, młodzież śpiewa polskie wojskowe piosenki, idą i idą pod bomby alianckie, przechodzą przez Ostrą Bramę, mimo eskorty SS-Manów śpiewają Rotę, "Boże coś Polskę" i "Jeszcze Polska nie zginęła". Tragiczne są te bezustanne transporty ze śpiewem na ustach — to również defilada serca. Najostrej zarządza mobilizacja kilku młodych roczników do transportu, a właściwie do Wehrmachtu — dała znikomy plon. Idą pod eskortą i ci co jeszcze nigdy w wojsku nie służyli — śpiewają polskie pieśni żołnierskie i "Jeszcze Polska nie zginęła" aż wagony drżą.

Rok 1943 — na ulicach łapani i oblawy. Mężczyźni prowadzeni na roboty fortifikacyjne pod Leningrad lub na chowanie poległych na froncie. I znowu słychać polskie żołnierskie piosenki i "Jeszcze Polska nie zginęła". To była również defilada...

Wiosna i lato 1943 — nie ma tygodnia by z wyroku "Polski Podziemnej" nie padł agent Gestapo. Maj — w domu odległym o pięćdziesiąt metrów od dowództwa S.D. odkryto skład broni. W mieszkaniu nie znaleziono nikogo. Zostaje trzech Gestapowców, w oczekiwaniu na przybycie właścicieli mieszkania. I...

Wilnianin
Żołnierz z 1-szej Dywizji Panczernej /Krawce Koszule/, od października 1939 żołnierz Armii Krajowej, syn bojowca P.P.S. robotniczego, sam robotniczy i P.P.S.-owiec, żołnierz, nie "agresor", ale "liberator", obrońca praw człowieka

Ukazał się pierwszy tom biblioteki "Wczoraj i Dziś"

"OJCZYŻNA I WOLNOŚĆ"

w tomie: Kazimierz Wierzyński: Na zajęcie Warszawy przez Rosjan. Na rozwiązanie Armii Krajowej. — Marian Hemar: Epilog. — Zygmunt Nowakowski: "Pamiętni w tej ojczyźnie synowie". — Stanisław Stronkowski: Nowa geografia wolności. — Stefania Zahorska: Myśli o Brzozowskim. — Tymon Terlecki: Dramat Guglielma Ferrero. — Juliusz Górecki: Pod Arsenalem. — Ludwik Mierosławski: Bitwa grochowska. — Bolesław Limanowski: Ludwik Mierosławski. — Myśli i uwagi z pism Mierosławskiego.

Współcześni o Mierosławskim.

Okładka Adama Koszowskiego.

96 stron druku.

cena 4/6.

12 ilustracji

Do nabycia wszędzie.

Wydawca: J. ROLLS BOOK CO. LTD.,
24, St. George Street, Hanover Square, London, W.1

TOWARZYSZ BRONI

Wilno

Naczelnny Wódz Polskich Sił Zbrojnych



Matka Boska Ostrobramska

*"Panno Święta, co Jasnej broni
szczęść przysłałaś,
i w Ostrej świecisz Bramie".*

Takimi słowy rozpoczyna się narodowy poemat największego poety polskiego, Adama Mickiewicza. Modlitwą do Najświętszej Marii Panny, co w Ostrej świeci Bramie... Ostra Brama to niewielka kaplica z obrazem Bogarodzicy, pośrodku niewymownie uroczego miasta Wilna. Podobno, niedawne działania wojenne obróciły wiele z Wilna w ruinę. Ale — Ostra Brama ostała się. I niewątpliwie ostoja się i przetrwa czas przemocy i obcego panowania.

Wilno, miasto wojewódzkie, prześlicznie położone nad wijącą się zakrętami Wilgą — jest ważnym ośrodkiem życia północno-wschodnich ziem Rzeczypospolitej. Nie ma Polaka, któryby nie zdawał sobie sprawy, czym dla nas jest to "miłe miasto", jak mawiał uczeń szkół wileńskich, Józef Piłsudski. Nie ma też Polaka, godnego tej nazwy, któryby handlował

Wilnem, któryby nie wierzył, że nad tym miastem unosi się duch wielkiego poety, wieszczą narodu, Adama Mickiewicza. I któryby też nie wierzył w powrót tego miasta, po sprawiedliwym rachunku dziejowym, do swojej Ojczyzny.

To tutaj, przed z górą stu pięćdziesięciu laty, gdy upadła Rzeczpospolita szlachecka — już wtedy lud wileński pod dowództwem Jakuba Jasińskiego, pisał i wykonywał wyroki śmierci na wrogach i zdrajcach. To tutaj — na Górze Trzech Krzyży ginęli polscy powstańcy za zbrodnię "polskawiństwa"...

W którą stronę przedwojennego Wilna było spojrzeć — wszędzie — pamiątki polskiej przeszłości, która jest zawsze bujnym nasieniem pod przyszłość. Katedra, Kościół Świętego Jana, Kościół Świętego Piotra i Pawła na Antokolu, Kościół Świętego Kazimierza, królewicza Polski i Litwy. Uniwersytet imienia króla Stefana Batorego. Zaułki wileńskie, gdzie nieomal za szatę uchwycić możesz Mickiewicza. Cella bazylijska z jego imieniem związana, gdzie młodzież polską więziono i katowano za miłość ku własnej Ojczyźnie, za nieprzyparte dążenie ku wolności.

A Cmentarz na Rossie? Jest tam wymowna mogiła "Matki i Serca Syna" — matki Józefa Piłsudskiego i jego serca. Na stokach Rossy śpią snem wiecznym poeci i malarze, budowniczowie i dostojnicy kościelni, filantropi i działacze społeczni. I śpią również snem wiecznym żołnierze.

Nie ma takiego topora, któryby nas odłupał od Wilna. Bo można całe miasto obrócić w niwecz, wysadzić dynamitem w powietrze nawet groby na Rossie. Lecz — Adama Mickiewicza, największego poety polskiego, żadna siła nie wyrwie z tego miasta. I dziś, gdy w Mickiewiczowskim mieście panoszy się obca siła — pamiętamy najmocniejszą pamięcią o Wilnie.

Wiecie dobrze, kim jest Wasz bezpośredni dowódca. Dowódca drużyny, plutonu, czy kompanii, jeśli chodzi o piechotę. Wiecie, że każdy podkomendny ma swego przełożonego. Wynika to z istoty Sił Zbrojnych. Otóż przełożony na szczeblu najwyższym — to Naczelnny Wódz Polskich Sił Zbrojnych.

Mianuje i zwalnia Naczelnego Wodza, według obowiązującej nas Konstytucji — Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej.

Dnia 30 września 1944 roku Pan Prezydent zwolnił z obowiązków Naczelnego Wodza generała broni Kazimierza Sosnkowskiego, mianując na jego miejsce generała dywizji Tadeusza Bora-Komorowskiego, bohaterskiego Dowódcę Armii Krajowej. Gdy w pierwszych dniach października 1944 roku walcząca przez 63 dni Warszawa, była zmuszona złożyć broń — generał Tadeusz Bór-Komorowski, podzielił los swoich żołnierzy i znalazł się w "Oflagu" niemieckim jako jeńiec wojenny.

Dnia 26 lutego 1945 roku Prezydent R.P. mianował generała dywizji Władysława Andersa, pełniącym obowiązki Naczelnego Wodza Polskich Sił Zbrojnych. Stał się wtedy na czele Sił Zbrojnych organizator i dowódca wsławnego w bojach na ziemi włoskiej II Korpusu Wojsk Polskich.

Nazwiska generałów Tadeusza Bora-Komorowskiego i Władysława Andersa, mają dla żołnierzy polskich, dla wszystkich Polaków piękną i wielką wymowę. Z tymi nazwiskami łączą się dwa największe fronty polskiej walki, największe osiągnięcia na polach bitew.

Po klęsce wrześniowej Polskie Siły Zbrojne w roku 1939, jak wiemy, odbudowywać się zaczęły na ziemi francuskiej. We Francji też został mianowany Naczelnym Wodzem gen. broni Władysław Sikorski, jeszcze jako generał dywizji. Niewątpliwie, historyczną zasługą generała Sikorskiego jako



Naczelnny Wódz gen. dyw. Tadeusz Bór-Komorowski

Naczelnego Wodza, było odtworzenie na ziemi obcej polskiego wojska, jako narzędzia walki o wol-



Pełniący obowiązki Naczelnego Wodza gen. dyw. Władysław Anders

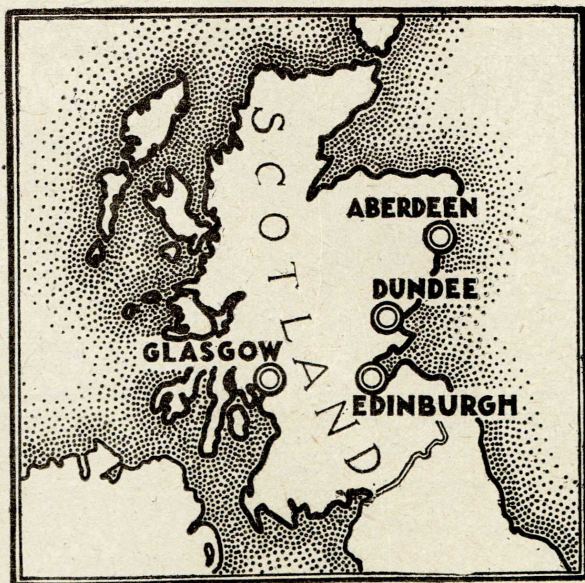
ność i niepodległość Ojczyzny. W jednym z pierwszych swych przemówień radiowych — Naczelnny Wódz generał Sikorski, a zarazem Prezes Rady Ministrów, podał do wiadomości fakt odbudowywania Sił Zbrojnych na obczyźnie. W odzwie na te słowa, zaroili się zielone granice, długie, uciążliwe i niebezpieczne szlaki, którymi wędrowali Polacy, aby zaciągnąć się ponownie do odbudowywanego wojska. Generał Sikorski zdążył odbudować we Francji dwie dywizje oraz jedną brygadę piechoty, nado Brygadę Pancerną.

Gdy nastąpił najazd niemiecki na Francję, generał Sikorski, w porozumieniu z Premierem Wielkiej Brytanii Winstonem Churchillem, przeniósł, ile tylko mógł z uratowanych Sił Zbrojnych na tę wyspę, i tu — w Szkocji — w dalszym ciągu prowadził dalsze przygotowywanie jednostek do walki z odwiecznym wrogiem. Pracowite, pełne energii i niewymownego trudu życie generała Sikorskiego, przebiega katastrofą samolotu w Gibraltarze, dnia 4 lipca 1943 roku.

Po jego żołnierskiej śmierci na posterunku — Pan Prezydent mianował Naczelnym Wodzem generała broni Kazimierza Sosnkowskiego. Na okres objęcia Naczelnego Dowództwa przez gen. broni Kazimierza Sosnkowskiego, przypadają chwalebne zwycięstwa oręża II Korpusu, jak również niemniej sławne i zwycięskie boje 1 Dywizji Pancernej w Normandii. W sierpniu 1944 roku wybucha powstanie Warszawy, stolicy uciemiężonego, lecz nigdy i przez nikogo nie ujarzmionego, nigdy nie poddającego się niewoli — narodu polskiego.

Tak, oto pokrótce, na tle wydarzeń dziejowych, przedstawiają się sylwetki Naczelnnych Wodów Polskich Sił Zbrojnych w czasie tej wojny, która jest niewątpliwie najokrutniejszą z okrutnych, za to walczącemu narodowi pisze karty Historii zgłoskami nieśmiertelnej chwały i krwi.

Cztery miasta Szkocji



Glasgow ma 1.088.461 mieszkańców, Edinburgh — 439.010 mieszkańców, Dundee — 175.585 mieszkańców, Aberdeen — 167.259 mieszkańców

Edinburgh jest stolicą Szkocji. Ale pod względem liczności mieszkańców jest to drugie miasto tego kraju — po Glasgow.

Dojeżdżając do Glasgow, jedziecie stosunkowo długo, zanim pociąg zatrzyma się na jednym z trzech głównych dworców. Wokoło — fabryki. Niebo jest pocięte fabrycznymi kominami. Opodal fabryk znajdują się dzielnice mieszkaniowe o domach szarych lub czerwonych. Typowe miasto fabryczne, takie jak Łódź, Sosnowiec, Katowice, czy Chorzów. Tylko znacznie, znacznie większe.

Czy wiecie, że w Zjednoczonym Królestwie, obejmującym Anglię, Szkocję i Walię — Glasgow zajmuje drugie miejsce po stolicy Imperium Brytyjskiego, Londynie? Jest to największe i najbar-

dziej przemysłowe miasto Szkocji. W rejonie Glasgow znajdują się stalownie, oraz liczne kopalnie węgla. Jednak na pierwszym miejscu należy postawić przemysł budowy okrętów. Na cały świat są słynne tutejsze stocznie, w których buduje się okręty, łączące ze sobą nieznane lądy, poprzez rozległe, najdziwniej zwałe się oceany i morza.

Edinburgh, zwłaszcza we wschodniej i północnej części liczy wiele fabryk, oraz Port Leith. A jednak to inne, niż Glasgow, miasto. Mniej jednostajne w wyglądzie, mniej nerwowe, z malowniczym otoczeniem podmiejskim. Edinburgh zalicza się do tych paru najpiękniejszych pod względem położenia, miast Europy.

Jeśli traficie do Edinburgha

w dzień pogodny, to niezapomnijcie wejść na Górę Zamkową /Castle Hill/, skąd rozciąga się rozległy widok ponad miastem, na otaczającą okolicę. Dookoła panoramę miasta — stanowią stoki gór. Słońce lśni na dachach gmachów publicznych, kamienic czynszowych, pałaców i wież kościelnych. A w porze letniej — jest tu pięknie zielono, albowiem drzew, wśród ulic i placów Edinburgha, nie braknie.

Będąc na przepustce tutaj, nie zapomnijcie też odwiedzić zoo — czyli ogrodu, w którym hoduje się różne zwierzęta. Ten po angielsku "Zoo-Garden", położony w zachodniej części miasta jest jednym z największych tego rodzaju ogrodów w całej Wielkiej Brytanii. A Szkoci się jego rozmiafi chlubią.

Przy wschodnim wybrzeżu Szkocji umieściły się dwa portowe miasta: Dundee i Aberdeen. Może nie jest dziwne, że z tych wschodnich portów Szkocji — udawali się przed paru wiekami Szkoci, żeby osiąść na wschodzie Europy, między innymi i w Polsce. Przedmieście Gdańska, nazywające się Alt-Schottland, było w dawnych czasach osiedlem szkockim. Pierwsi mieszkańcy, założyciele, pochodzili z okolic Aberdeen.

Dundee i Aberdeen nie są tak rozległe i wielkie, jak Edinburgh, a w szczególności Glasgow. Tętni w obu tych miastach ruchliwe, pracowite życie portu morskiego. Dundee jest ośrodkiem produkcji juty, a Aberdeen — przetwórczego przemysłu rybnego. Być może, w dawnych czasach, poza innymi znanymi przyczynami, to sprawiło, że stąd kierowali się kupcy do dalekiej Polski, aby Krajowi naszemu przynieść i zaopiarować potrzebne towary. A znów z Polski — zakupić i przewieźć to, czego potrzebowali Szkoci.

Z miejsc postoju

Dnia 7 kwietnia r.b. w miejscu postoju Szkoły Podchorążych Piechoty i Kawalerii Zmotoryzowanej, odbyło się zakończenie VII kursu piechoty i VIII kursu dla lotników. Uroczystość ta była po raz pierwszy tak tłumna i liczna w dziejach podchorążówki w Szkocji. Jeden z Waszych kolegów, pchor. J. z Nakla nad Notecią, przemawiając, ślubował następującymi słowami:

"Nie ma takich ofiar, ani takich wysiłków, którychbyśmy się nie podjęli. Mamy jeden jedyny cel święty — Polskę".

Z dniem 9 kwietnia r.b. rozpoczął dziesięciodniową turę odczytów p. J. Zieliński, uczestnik powstania warszawskiego, odwiedzając wiele miejsc postoju w Szkocji i dzieląc się ze słuchaczami tym, co widział i przeżył w czasie 63 dniowej walki Stolicy przeciwko Niemcom.

P. Zielińskiego słuchano z napiętą uwagą i zainteresowaniem, gdyż dla żołnierza, który jest szkolony do walki o wolność swej Ojczyzny, przykład Stolicy będzie zawsze żywy i pamiętny. Prelegentowi stawiano po odczycie szereg pytań, wykazujących jak najbardziej, ku jakiemu celowi kieruje się myśl żołnierza polskiego w obozach w Szkocji.

Dnia 10 kwietnia — Czołówka Teatralna Dowództwa Jednostek Wojska w Wielkiej Brytanii "Lwowska Fala", rozpoczęła objazd miejsc postoju 4 Dywizji Piechoty z programem nr. 11, pod tytułem: "Ten Drogi Lwów..."

Popularny teatr żołnierski pod kierownictwem artystycznym Wi-

ktora Budzyńskiego, przynosi żołnierzowi rewie, która ma przypomnieć, odtworzyć jego wyobraźni Polskę, tę, którą zostawił, o której śni i marzy, ku której tęskni, do której wróci z bronią w rękę, bo taka jest jego nieugięta wola.

Brytyjsko-Polski Klub Korespondencyjny /Siedziba: 3, Novar Crescent, Kirkcaldy, Fife. Prezydent: Miss Jean Braid. Sekretarz Generalny: Vincent Swicz/ — rozesłał do członków pismo, w którym zaznacza między innymi:

"Każdy członek Klubu ma duży wybór korespondentów i zawsze znajdzie kilka osób odpowiednio do swego gustu, wieku, wykształcenia i t.p. Obowiązuje wymiana co najmniej jednego listu na miesiąc. Korespondencja głównie w języku angielskim /choćby z błędami/. Sporo Brytyjczyków zna francuski. Niektórzy znają niemiecki, ale tego języka nie popieramy ze względów zrozumiałych. Niestety, tylko garstka może korespondować po polsku, ale wielu Anglików i Angielek, Szkotów i Szkotek, pragnie nauczyć się polskiego i proszą o pomoc.

Pierwsza drukowana lista adresów została rozesłana w połowie kwietnia /tylko tym członkom, którzy zapisali się do Klubu przed 30 marca/. Lista zawiera z górą 900 nazwisk i adresów, z tego połowa angielskich i szkockich, przeważnie panie, starsza młodzież szkolna, członkowie klubów młodzieży. Akcja nasza osiągnęła z miejsca poważny sukces".

W oddziałach, które nie otrzymują dostatecznej ilości egzemplarzy "Polski Walczącej", należy odciąć tę kartę i umieścić na ścianie w widocznym miejscu. "Towarzysz Broni" winien docierać do wszystkich.

